№ 35. Warszawa, dnia 1 Września (20 Sierpnia) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

TANIE CZYTELNICTWO.

Ponieważ w stosunkach umysłowych (mówimy tu o Warszawie), piśmiennictwo peryodyczne gra nader ważną rolę, pożądanem byłoby zastanowić się, czy ono w obecnych warunkach może stać się, jeżeli nie lepszem, bo to zależy głównie od doboru sił literackich, to przynajmniej tańszem. Nasza wytwórczość umysłowa rozwija się w wydawnictwach peryodycznych, co im nadaje odrębne, różne od zagranicznych cechy. Nie mówiąc już o miesięcznikach i tygodnikach poważniejszej treści, pisma ilustrowane a nawet codzienne mają przeważnie charakter, nie informacyjny, lecz literacki. Czy to jest właściwe, na teraz rozstrzygać nie będziemy; zaznaczymy tylko fakt, który i społecznymi względami objaśniony i usprawiedliwiony w części być może. Dla przeciętnego czytelnika dziennik jest jedynym, ale niezbędnym pokarmem umysłowym, idzie więc o to, żeby mu go dostarczyć o ile można najtaniej. W porównaniu z zagranicznemi pisma warszawskie są dosyć drogie, ale istniejąca liczba prenumeratorów nie pozwala żadnej redakcyi zniżyć przedpłaty. Nie można narzekać na brak czytelników, zwłaszcza w Warszawie, owszem w klasach t. z. inteligentnych zauważyć łatwo przeciwny objaw: pochłanianie masy zadrukowanego papieru bez żadnego względu na jego zawartość. Powodzenie zaś wydawnictw w znacznej mierze gruntuje się nie na jakości, ale na ilości dostarczanego materyału. Stąd powstaje ciągłe współzawodnictwo, które znowu czyni pisma nasze lamusami niepotrzebnych zgoła wiadomości, uświęca powierzchowność i płytkość sądu śród czytelników. Do utrwalenia zaś tego niepożądanego stanu rzeczy przyczyniają się nie mało cukiernie, które w ostatnich latach tracą coraz bardziej charakter zakładów jadłodajnych zmieniając się w czytelnie, dostarczające swym gościom oprócz herbaty i kawy, całe stosy krajowych i zagranicznych gazet.

Niedawno właśnie w prasie niemieckiej poruszono kwestyę pokrewną. Jeden z literatów obliczył, że poczytniejsze dzieło przechodzi w czytelniach berlińskich przez 70,000 rąk. Gdyby dziesiąty, a nawet dwudziesty procent kupił książkę, nietylko zwiększyłoby te zyski autora i wydawcy, ale także znacznie obniżyłoby jej cenę. W Warszawie istnieje niewiele czytelni, ale za to mamy przeszło 60 cukierni, nie licząc mleczarni, kawiarni, restauracyj itp. (około 300) zakładów, z których każdy posiada kilka, kilkanaście, nieraz kilkadziesiąt wydawnictw peryodycznych. Każde więc pismo, zwłaszcza poczytniejsze, przechodzi w ciągu tygodnia przez kilka tysięcy rąk. Dokładne obliczenie jest w danym wypadku niemożebne, ale gdyby tylko dziesiąta część tych amatorów taniego czytania zaprenumerowała sobie jedno lub dwa pisma, liczba abonentów wzrosłaby, a cena przedpłaty spadła znacznie. Jeżeli komuś na zawadzie w przyznaniu słuszności temu wywodowi stoi pozór rozszerzenia się oświaty przez cukiernię, to łatwo zbadać, jakie żywioły składają kontyngens cukiernianych gości? Ucząca się młodzież, ludzie pracy nie mają czasu wysiadywać po kilka godzin dziennie, każdy z nich prenumeruje w miarę środków jedno lub dwa pisma, które wystarczają mu najzupełniej, w razie zaś potrzeby poznania jakiegoś ciekawszego artykułu, pożyczka pojedynczego numeru nie jest trudną, a kupienie — kosztownem. Ci, co dnie całe spędzają na wertowaniu dzienników, są to jedynie pracowici próżniacy, kapitaliści, emeryci, którzy wyszukują sobie najrozmaitszych sposobów zabicia czasu. Mają oni umysłowe wymagania i potrzebują je zaspokoić, bez uszczerbku więc dla swych funduszów mogliby prenumerować kilka pism, gdyby ich cukiernie nie zaopatrywały w literaturę peryodyczną taniej.

Kto za nich ciężar dźwiga? Naprzód prenumeratorzy warszawscy, a przedewszystkiem prowincyonalni. Ci ostatni są rzeczywiście obdzierani bez miłosierdzia. Abonent warszawski płaci np. za każdą z trzech ilustracyj 8 rs. rocznie, prowincyonalny rs. 12, a zamożni rentyerzy mają w cukierniach za 18 lub 20 kilka rs. rocznie (zależnie od tego, czy kawa kosztuje 5 czy 7½ kop.) wszystkie główniejsze wydawnictwa peryodyczne.

Zachodzi więc mniej ważne dla wydawców i autorów, niż dla ogółu pytanie: dla czego cukiernik ma ciągnąć znaczne zyski nie ze swych wyrobów, lecz z literatury, a nadto dlaczego rentyerzy warszawscy mają korzystać z przywileju czytania wszystkich pism (jeżeli potrącimy kawę) darmo?

Na jakiej wreszcie zasadzie cukiernikom, restauratorom itd. służy ten dziwny monopol, kiedy dla zwykłych śmiertelników założenie czytelni, chociażby jedynie pism peryodycznych, wymaga od utrzymującego ją pewnego umysłowego cenzu? Sprawa ta nie jest tak drobną, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Niepomierny rozrost knajpowego czytelnictwa jest właściwością warszawską i nigdzie nie istnieje w takim stopniu; idzie więc o zniesienie albo przynajmniej ograniczenie zwyczaju, który nie podnosi oświaty, lecz tylko cenę wydawnictw peryodycznych, obciążając ludzi pracy i skromnych funduszów. Że to odbije się na budżecie pp. cukrowników lub restauratorów i że żarłoczni pochłaniacze gazet zmuszeni będą umiarkować swój apetyt lub rozwiązać sakiewkę—mniejsza;

literatura i większość czytelników na zmianie obecnego stanu rzeczy zyskać tylko mogą.

Podnosimy zaś tę kwestyę z tej przyczyny, że w znacznej części może ona być rozwiązana na drodze solidarnego zobowiązania się wydawców, bez interwencyi prawodawczej. Dla nas nie ulega żadnej wątpliwości, że pisma, wyparte z cukierni itp., rozszerzyłyby prenumeratę a tem samem uprzystępniłyby cenę tym, którzy dziś na prenumeratę nie mają pieniędzy, a na cukiernie czasu.

P.

Żelazne prawo.

I.

Das Gute, nicht die Verschlechterung ist Ursache der Reformationskräfte.

E. *Dühring.*

Ze wszystkich zarzutów, jakie socyaliści pesymistycznej barwy dzisiejszemu ustrojowi społecznemu stawiają, po twierdzeniu, że przy nim *coraz szczuplejsza garstka uprzywilejowanych ludzi coraz bardziej się bogaci kosztem wzrostu nędzy i liczby biedaków*, najważniejszym bezwątpienia jest ten, że w tym ustroju panuje z nieubłaganą srogością *prawo, na zasadzie którego zarobek robotnika redukuje się zawsze do zaspokojenia jedynie najniezbędniejszych jego potrzeb życiowych*.

W artykule „Rojenia socyalistów polskich wobec nauki ich mistrza“ (*Ognisko*) przedstawiliśmy, jak najgłośniejszy z pisarzów socyalistycznych, Marx, uzasadnia pierwsze z tych twierdzeń. Nie poddawaliśmy go jednak krytyce, naprzód ze względu na najbliższy cel wzmiankowanej pracy, powtóre dla tego, że dość obejrzeć się naokoło siebie, żeby dostrzedz jego nieprawdę i paradoksalność, przynajmniej gdy je rozpatrywać będziemy *au point de la lettre*. Bo względnej słuszności odmówić mu nie można. Jest ono mianowicie w zgodzie z rzeczywistością o tyle, o ile zawiera w sobie myśl, że przy istniejących obecnie stosunkach przemysł fabryczny dąży do wywłaszczenia drobnych przedsiębiorców *) i zamienia ich na robotników najemnych, oraz że ludzie majętni, doszedłszy—czy to dzięki własnym zdolnościom i pracy, czy, co nierównie częściej się zdarza, dzięki urodzeniu, stosunkom, szczęściu lub nieuczciwości—do pewnego stopnia zamożności, dozwalającej im wyzyskiwać cudzą pracę na wielką skalę, bogacą się już bez żadnych ze swej strony zasług, bez pracy, bez wszelkich nawet osobistych kłopotów, bardzo szybko i po nad wszelką miarę, podczas gdy położenie klasy robotniczej nie polepsza się bynajmniej w tym samym stosunku i z tą samą szybkością.

Przy obecnym ustroju społeczeństw cywilizowanych, opartym na nieograniczonej własności indywidualnej i pracy najemnej oraz tysiącu przywilejów jednej i tysiącu już to prawnych, już faktycznych ograniczeń wolności drugiej, kapitał, dosięgłszy pewnej dla każdego kraju mniej więcej oznaczonej wielkości, rośnie już dalej siłą własną, nadaną mu przez ten ustrój, siłą, dzięki której jest on, według trafnego określenia angielskich merkantylistów—pieniądzem, rodzącym pieniądz (*money which begets money*).

Tymczasem przedstawiciele pracy, robotnicy, muszą zwyciężać tysiączne przeszkody, poddawać się najrozmaitszym ograniczeniom w najniezbędniejszych nawet potrzebach swoich, wyczekiwać nieraz długie lata w ciągłym niepokoju o jutro sprzyjających okoliczności i umieć je wyzyskać należycie, by nędzny byt swój cokolwiek polepszyć. Skutkiem tego różnice w położeniu klas uprzywilejowanych i biednych coraz bardziej się uwydatniają, a fakt ten budzi coraz większe niezadowolenie wśród ostatnich i oburza uczucie sprawiedliwości w szlachetniejszych przedstawicielach pierwszych, skłaniając ich do poszukiwania sposobów usunięcia tej ciemnej strony naszego ustroju społecznego z widowni przyszłych dziejów,

Marx i jego zwolennicy, o ile fakt ten konstatują, mają za sobą słuszność. Lecz rozdymając go do niebywałych rozmiarów, twierdząc, że po upadku poddaństwa w położeniu klasy robotniczej nietylko nie zaszedł żaden postęp, lecz przeciwnie pogorszyło się ono jeszcze, i rzucając na tej podstawie niezasłużone przekleństwo na cywilizacyę, która po raz pierwszy w dziejach wypisała na swym sztandarze ideę wolności osobistej i równości wszystkich ludzi wobec prawa, popełniają błąd i mimowoli łączą się z wszelkiego rodzaju wstecznikami.

Przedstawiwszy swój pogląd na pierwszy ze wzmiankowanych na początku artykułu zarzutów, przejdźmy teraz do drugiego. Zawarte w nim twierdzenie wymowny agitator niemiecki, Lassalle, ochrzcił mianem *żelaznego prawa*.

Mniemane owo prawo, jak to zapewne czytelnik sam zauważył, mieści się już w twierdzeniu Marxa, pod smutniejszą tylko jeszcze formą, i stanowi jedną z tych mianowicie jego części, które nas nie przekonywają. Dlatego to właśnie wybraliśmy je za temat niniejszego artykułu, ażeby mu poświęcić obszerniejszy rozbiór.

Już Turgot, zastanawiając się nad stosunkiem praconabywcy do robotnika, wypowiedział zdanie, iż „w każdym rodzaju pracy musi się zdarzać i zdarza się rzeczywiście (*il doit arriver et il arrive en effet*), że wynagrodzenie robotnika ogranicza się do tego, co jest niezbędne dla dostarczenia mu środków utrzymania.“

*) Mówię: drobnych *przedsiębiorców*, nie posiadaczów wogóle, ponieważ zdanie to nie stosuje się bynajmniej do *drobnych posiadaczów rolnych*. Wartość wyrobów przemysłu, a więc w normalnych warunkach i ich cenę, określają, jak wiadomo, *średnie* koszta produkcyi lub reprodukcyi, wartość zaś płodów rolnych — *najwyższe*. W tem leży tajemnica, dlaczego, podczas gdy przemysł wielki we współzawodnictwie zabija drobny, rolnictwo drobne nietylko ostać, ale nawet pomyślnie rozwijać się może obok wielkiego. Bo cena targowa wyrobów nie pokrywa kosztów produkcyi przemysłu drobnego, gdy do konkurencyi wystąpi wielki, produkujący, dzięki maszynom i podziałowi pracy, taniej. Cena płodów rolnych pokrywa zawsze najwyższe nawet koszta produkcyi, gdyż podług nich właśnie ona się normuje. Marx, obracając się ciągle w kole abstrakcyj i opierając się na zbyt ogólnej i absolutnej teoryi wartości, która w praktyce zastosowania nie ma, rzecz tę przeoczył, pomimo, że za podobne przeoczenia zwykł odsądzać od rozumu, czci i wiary, ba, grubiańsko łajać swych przeciwników. Chcielibyśmy przedewszystkiem zwrócić na tę okoliczność uwagę jego zapalonych zwolenników, którzy na podstawie jego teoryi „oświadczają się stanowczo przeciwko „tak zachwalanej u nas w ostatnich czasach parcelacyi gruntów.“

---

[3])

POWIEŚĆ O JANKU
SZEWCKIM SYNIE

przez

J. S. Wierzbickiego

III.

Było to na schyłku jesieni, chmurnej i brudnej, jak zwykle nasza jesień. Liście opadły i ukazały oczom nagie szkielety drzew, wyciągających konary, niby ramiona, z rozpaczą ku zimnemu i szaremu niebu, gdzie się kłębiły ciemne chmury, zazdrośnie gasząc każdy promyk litościwego słońca. Wiatr huczał, unosząc do góry zżółkłe listki, jęczał śród sosen pobliskiego boru, natrząsających się zielonością z ogólnej żałoby i wył za oknami ludzkich mieszkań, jakby przepowiadając coś groźnego. Na chwilę z poza chmury przejrzało słońce, ale nie ciepłe, dobroczynne, wiosenne! Zimowy powiew ściął mrozem jesienne kałuże i osrebrzył okoliczne pola. W końcu niebo zaćmiło się jedną wielką chmurą i zaczął rosić deszczyk, który wnet zamarzał i całej powierzchni ziemi nadawał jednostajną, lśniącą polewę. Rzeka u brzegu zamarzła, środkiem zaś jej płynęła brudna kra.

Jednego z takich dni jesiennych Małgorzata zaniemogła. Nad wieczorem położyła się z bólem głowy.

Andruch wrócił do domu późno z szyneczku, gdzie spotkał się z organistą i gdzie w przystępie dobrego humoru zajął się operacyą ogałacania jego głowy z tej reszty włosów, którą mu litościwa natura pozostawiła.

Była to gałąź chirurgii, uprawiana wyłącznie w szyneczkach, chociaż wcale nietolerowana przez naukę i prawo. W domu już wszyscy spali. Stanął w pierwszej izbie i usłyszał ponury głos Andruchowej, brzmiący jakoś dziwnie w ciszy nocnej, bo miała zawsze zwyczaj twardo spać i nie trwoniła czasu na gawędy nawet przez sen. Leżała na łóżku z otwartemi oczyma i majaczyła. Andrzej zaczął się wsłuchiwać i zimno mu się zrobiło; po chwili wszedł do sypialni. Małgorzata, którą gorączka jeszcze nie owładnęła, ujrzawszy męża, zawołała:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Cóż to, byłeś na chrzcinach?!

— Na czyich chrzcinach? Opamiętaj się, babo, bredzisz z gorączki.

— A no bredzę! — zaśmiała się stara.

— Może ci podać tabakierkę!

— Nie chcę! — rzekła ze wstrętem.

— To, źle! — jęknął.

— Hm, hm! — szepnęła Małgorzata — śniły się mi dziś mrówki, łaziły po ciele.

— Mrówki?! Cóż to myślisz mi zamrzeć?

— A juścić, mój łysy!

Andruchowi włosy powstałyby na głowie, gdyby je miał; aż przeżegnał się.

— A no, doktór pomoże!

— Nie chcę doktora! Niech-no mi tu przyjdzie, to go tak lunę bez łeb — rzekła stara i uśmiechnęła się do Janka, co półsenny wyciągnął do niej z łóżeczka ręce. Leż tam robaku, leż, ani waż się do mnie przybliżyć, ja zaniemogłam.

Janek usiadł w łóżeczku i spoglądał na matkę, której twarz zabarwiła się ognistym rumieńcem, oczy pałały a ramiona odpychały jakąś zmorę, co siadła jej na piersi i dusiła gardło. Nieokreślone przeczucie złego zapanowało w sercu chłopca; to też przytuliwszy główkę do poduszki, zaczął płakać, ale zaraz zasnął, nie słysząc krzyków gorączkowych matki.

— Doktora! — zawołał Andruch i wyleciał jak szalony na ulicę.

Pan konsyliarz, okrągły, w okularach i z brelokami u zegarka, z tradycyjną miną małomiasteczkowych lekarzy, pokiwał rozumnie głową i kazał czekać cierpliwie, przepisawszy jakąś przeczyszczającą miksturę, co zadowoliło Andrucha, bo nie przebaczyłby doktorowi zachowywania względem choroby ścisłej neutralności. Małgorzata, gdy w czasie tej wizyty na chwilę

Pogląd Adama Smitha na tę sprawę—jeżeli weźmiemy pod uwagę wszystko, co on w tym przedmiocie wypowiedział—nie był tak smutny. Tę wysokość płacy roboczej, która, podług Turgota, była jej normą ogólną *w każdym rodzaju pracy*, uważał Smith właściwie tylko za *minimum*, niżej którego spaść ona nigdy na długo nie mogła. W jednem jednakże miejscu swego dzieła rzucił on zdanie, z którego możnaby wnosić, że sądził, jakoby robotnicy byli wogóle na łasce właścicieli środków produkcyi.

Przytaczamy zdanie to w całości, ażebyśmy je mogli później poddać krytyce.

„Wysokość płacy roboczej — mówi Smith — określa się za pomocą ugody, jaka następuje zazwyczaj między dwoma osobami (właścicielem kapitału i robotnikiem). których interes nie jest bynajmniej jeden i ten sam. Robotnicy pragną otrzymać jak można najwięcej, panowie (*the masters*) dać najmniej; pierwsi są skłonni do zmowy dla podniesienia płacy, drudzy — dla zniżenia jej.

Nie trudno przewidzieć, która z tych dwóch stron w okolicznościach zwykłych powinna otrzymać w sporze przewagę i siłą narzucić drugiej wszelkie swoje warunki. Panowie, będąc w liczbie mniejszej, mogą się łatwiej porozumiewać; nadto prawo zezwala, lub przynajmniej nie zabrania im tego, podczas gdy robotnikom zakazuje wszelkich zmów. Nie mamy żadnych aktów parlamentarnych przeciwko związkom, dążącym do zniżenia ceny pracy; jest ich jednak wiele, przeciwko koalicyom, mającym na celu jej podwyższenie. We wszystkich tych walkach panowie są w możności dłużej stawiać opór.

Właściciel ziemski, dzierżawca, fabrykant, lub kupiec mogliby wogóle, nie zajmując ani jednego robotnika, żyć rok lub dwa z kapitałów, które już zebrali. Wielu z robotników nie byłoby w możności wyżyć bez pracy jednego tygodnia, bardzo mała ich liczba mogłaby się utrzymać przez miesiąc, a jeden może zaledwie przez rok cały. Bezwzględnie — w znacznych rozmiarach czasu — być może, że pan tak samo potrzebuje robotnika, jak ten pana; potrzeba jednak pierwszego nie jest tak nagląca."

Ricardo, który ze wszystkich epigonów Smitha najwięcej zajmował się sprawą podziału bogactw, pierwszy postarał się dokładniej uzasadnić twierdzenie Turgota.

Dowodzenie swoje oparł on na prawie Malthusa, podług którego ludność dąży zawsze do szybszego wzrostu, niż środki utrzymania. Gdy więc zarobek wzniesie się czasowo po nad sumę niezbędną do opędzenia najkonieczniejszych potrzeb robotnika i jego ewentualnej rodziny — śmiertelność wśród klasy roboczej, dzięki polepszeniu się jej bytu, maleje, ilość małżeństw i urodzeń wzrasta, skutkiem czego liczba robotników, a więc i zaofiarowanie pracy zwiększa się, cena zaś jej, zależąca od stosunku podaży do popytu, spada. Nie może jednak spaść na długo niżej wzmiankowanej normy, gdyż w takim razie następuje stosunek odwrotny: śmiertelność wzrasta, liczba małżeństw i urodzeń, a stąd i zaofiarowanie pracy zmniejsza się, co wywołuje podwyżkę płacy.

Tak więc, podług Ricarda, jakkolwiek praca robocza może podlegać pewnym wahaniom czasowym, to jednakże stałą normą dla niej są tylko najniezbędniejsze koszta utrzymania robotnika wraz z jego przeciętną rodziną. Normę tę angielska szkoła ekonomiczna, za przykładem Smitha, nazywa *naturalną ceną pracy*.

Aż do czasu wydania *Kapitału* żaden z późniejszych zwolenników prawa Ricarda nowymi dowodami go nie poparł. Wszyscy uważali je już za dowiedzione niezbicie. Nie stanowi tu wyjątku nawet Lassalle, który zresztą wogóle w licznych swych broszurach ekonomicznych nic nowego, ani oryginalnego nie wypowiedział. Objaśniając na wszelkie możliwe i niemożliwe (jak wkrótce zobaczymy) sposoby rozkrzyczane przez siebie żelazne prawo, opierał się on głównie na dowodzeniu Ricarda i uznał prawdziwość prawa ludności Malthusa, nie spostrzegając, że gdyby ono miało za sobą słuszność, żadne reformy społeczne nicby nie pomogły, złe byłoby nieuleczalne, a proponowane przez niego stowarzyszenia produkcyjne z kredytem państwowym spotęgowałyby tylko nędzę, dawszy możność biedakom rozrodzić się w większej liczbie.

Logiczniejszy od głośnego agitatora Marx w sprzeczność taką wpaść nie mógł. Odrzucił też stanowczo prawo Malthusa, a na miejsce jego postawił własne, które nietylko już nie stoi w niezgodzie z dążeniem do reform, lecz przeciwnie, wskazując za źródło złego obecny ustrój społeczny, domaga się jego radykalnej zmiany. Twierdzi on mianowicie, że przy kapitalistycznym ustroju społeczeństwa powiększenie wytwórczej siły pracy, bądź to za pomocą rękodzielniczego jej podziału, bądź przez wprowadzenie maszyn do przemysłu, czyni pewną liczbę robotników zbyteczną i tym sposobem wytwarza stale nadmiar ludności roboczej w stosunku do jej potrzeby i bez względu na jej powiększenie się lub zmiejszenie absolutne. Tym sposobem, podług niego, na rynku handlowym istnieje zawsze większa liczba „rąk" gotowych się wynająć do pracy, niż kapitaliści ich potrzebują, a skutkiem tego płaca robocza utrzymuje się zawsze na możliwie najniższym poziomie.

W. Wścieklica.

STOSUNKI SPOŁECZNE W AUSTRYI.

Austrya przygotowuje się do wprowadzenia w życie nowej ustawy przemysłowej, nad którą rozprawy sejmowe i pozasejmowe w swoim czasie tyle wywołały wrzawy. W obec tego ciekawem jest wrażenie, jakie owa ustawa uczyniła na warstwy najbardziej nią interesowane.

Istnieją tam dwa odłamy stronnictwa robotniczego, pomiędzy którymi z każdym niemal rokiem wzrasta walka coraz większa. Grupa radykalna, która już przed kilku laty oświadczała się przeciwko powszechnemu prawu wyborów, z tego powodu, że robotnicy nie mogą się niczego spodziewać od parlamentaryzmu, bo w nim kapitał przemaga — i obecnie odrzuca prawo, normujące dzień roboczy, ponieważ środek ten wcale nie prowadzi do rozwiązania tak zwanej „kwestyi socyalnej." Grupa ta—o ile można wnosić z oświadczeń mówców na zgromadzeniach ludowych—nie przywiązuje żadnego znaczenia do prawodawstwa fabrycznego, ponieważ ono pochodzi od państwa, opartego na ustroju kapitalistycznym. Przeciwko takiemu poglądowi występują socyaliści umiarkowani. Uważają oni za konieczne, aby stanowi pracującemu nadane było odpowiednie prawo wyborcze, ponieważ dopóki robotnicy nie otrzymają swych przed-

---

przyszła do siebie, zobaczywszy doktora, którego osobiście nienawidziła od czasu śmierci swych dzieci, wrzasła:

— A ty po co tu, piguło, ruszaj, bo cię warzęchwią!...

Konsyliarz, który przypuszczał, iż tylko ludzie w gorączce mogą o nim mówić w taki sposób, uśmiechnął się na to boleśnie i wyszedł, zaleciwszy chorej spokój, nakazawszy prócz tego wszystkim dzieciom, otaczającym go ciekawie, pokazać języki a starego Andrucha uścisnął za puls, co ułatwiło znacznie proces przejścia mile szeleszczącego papierka z rąk szewca do rąk lekarza.

Tymczasem dni mijały a Małgorzacie było coraz gorzej: zrywała się z łóżka, ledwo ją stary mógł przemocą utrzymać i ukołysać. Janek nie rozumiał tego strasznego pasowania się matki ze śmiercią. On szedł do życia i nie pojmował śmierci. W jego dziecinnej wyobraźni wszystkie otaczające przedmioty czuły i myślały, a on był tylko kropelką w tym oceanie życia.

Zebrały się kumy około Małgorzaty i zaczęły radzić. Jedna zamawiała chorobę, inne modliły się. Janek, widząc, że wszyscy nieswoi i płaczą, płakał także. Mimo to wszystko Małgorzata widocznie gasła. W końcu doktór poradził, aby wezwano księdza...

Ksiądz przyszedł do niej z wiatykiem. Wieczór zapadał, w pokoju było cicho, jak makiem posiał, Małgorzata uspokoiła się. Przed obrazem Matki bożej płonęła lampka, to gasnąc, to roztaczając jaśniejsze blaski. Wśród ciszy rozlegał się szept Małgorzaty, głuchy, jak gdyby wychodził z grobu; w końcu głos jej ucichł, spowiedź się skończyła i ksiądz zawołał: „oto Baranek boży!...

Przed śmiercią wezwała do siebie dzieci, które rzuciły się do jej stóp, płacząc; położyła na głowę Janka ręce i wpatrywała się w niego długo, uważnie, jakby chcąc oblicze jego odcisnąć sobie na wieki w pamięci. Boleść jej była tak wielka, iż tylko łzami mogła ją wypowiedzieć.

— Sierota! — jęknęła — sierota, całe życie sierota!

Stary Andruch tłukł z rozpaczy łysiną o róg łóżka, płakał tak, jak nigdy, nawet popijanemu, a był w tej chwili trzeźwy.

— Tak, tak, biedaku, porzucam ciebie!— mówiła do niego. Kto cię dopatrzy, stara, łysa głowo, kto ci będzie wymyślał od próżniaków i pijaków, kto?!

I uderzyła w ręce z wielkiej boleści.

— A mojeż tam gospodarstwo biedne — rzekła — jak się ma moja graniasta krówka, czy się ocieliła — hę?!

Wojtek na to:

— Ma sporego ciołaka!

— A chwała Bogu, to może co i zarobimy tej zimy — a mojaż — czy już prośna?

— A juścić — szepnął Andruch.

— Pilnujcie mojej, bo nie będę miała spokoju w grobie — dodała stara i rzuciła spojrzenie tkliwe na Janka, który miał usta zatkane kawałkiem bułki, choć łzy spływały mu na policzki.

— Jedz, jedz, mój robaku! A ty pamiętaj o nim Andrzeju, bo dalibóg przyjdę do ciebie po śmierci, a wiesz, że ja za krzywdę dziecka każdemu oczy wydrapię. Wy Wojtku i Bartku kochajcie go, maluczkie to jeszcze, słabe i głupie.

W końcu umilkła na chwilę i wpadła w jakieś osłupienie... Po chwili zaczęła znowu w gorączce niby spowiadać się. mówiła dużo o swoich wielkich grzechach, o złości, o uporze, błagała Boga o przebaczenie, głos jej nabierał w ciszy dziwnego dźwięku, podnosił się do wysokości, niby ulatał w sfery zagrobowe, nieznacznie łamał się i urywał, jak gdyby struny jego pękały w piersi, w końcu zlał się w jedno urywane chrapanie, coraz cichsze... i zamilkł... Nastąpiła straszna cisza. Jedna z kum przyłożyła rękę do serca Małgorzaty i rzekła:

— Ani zipnie!

Wszystkie zaczęły lamentować. Dzieci uderzyły znowu w wielki płacz: na głos ich biedna matka jeszcze raz otworzyła oczy. Stary się tarzał na ziemi w wielkiej boleści. Kumy zawodziły. Magda mówiła:

stawicieli w parlamencie, dopóty nie będą obywatelami równouprawnionymi. Umiarkowani uznają pożytek ustawodawstwa fabrycznego, gdyż w razie odrzucenia tego rodzaju interwencyi w stosunkach pomiędzy robotnikami, a fabrykantami, nie pozostałoby na polu reform społecznych nic innego, jak trąbić do odwrotu.

Radykaliści nazywają tę partyę mieszczańsko-socyalną, albo socyalno-liberalną. Większość jednak robotników nie stoi po stronie radykalistów.

Tak zwani znowu austryaccy feodałowie socyalni są w wielkim błędzie. Pod bezpośrednim wrażeniem ankiety robotniczej wystąpienie Lichtenstejna, Zallingera i in. mogło w pewnych sferach pracujących zyskać poklask. Dziś jednak po chłodnem rozpatrzeniu istoty mniemanych dobrodziejstw komisyi przemysłowej (o której osobno pisaliśmy), złożonej z arystokracyi i fałszywych reformatorów społecznych, usposobienie robotników dla tej rzeszy bynajmniej nie jest przychylne. Przesadzone obietnice możnowładców, gdzieś się ulotniły, a ze wszystkiego pozostała jakaś koślawa ustawa przemysłowa z przymusowemi stowarzyszeniami, żądaniem dowodów uzdolnienia przemysłowego i t. p. anachronizmami będąca niezdarnem zastosowaniem średniowiecznych więzów cechów do wielkiej dziedziny ekonomicznej robotników fabrycznych. Mimo to na zgromadzeniu delegatów - podmajstrzych i przedstawicieli wolnych stowarzyszeń Wiednia niedawno postanowiono ułożyć ustawę normalną dla stowarzyszeń przewidzianych w nowym kodeksie przemysłowym, dla sądów rozjemczych i kas pomocy dla chorych robotników—a to w celu ubezpieczenia się choć w części od skutków zasady cechowej nowego prawodawstwa. Czy owe projekty spełnią pokładane w nich nadzieje, odpowie na to przyszłość. Dziś to tylko zaznaczyć można, że istnieniu wielu wolnych stowarzyszeń robotniczych zagraża niebezpieczeństwo.

Nie bez interesu będzie tu zwrócić uwagę na wywody ekonomisty Rudolfa Mejera teoretyka i mistrza austryackich arystokratów, dla których socyalizm stał się chwilowo rodzajem sportu modnego. Ów mąż był dla książąt Lichtenstejnów, Belcredego i Lobkowica tem, czem profesor berliński, Adolf Wagner, dla księcia Bismarka. Był on głównym reżyserem dziennika „*Vaterland*“, usiłującego sprowadzić nowy prąd na koła fedalizmu, ultramonta nizmu i wsteczniotwa politycznego. Ten to sport socyalny przyniósł Austryi nową ustawę przemysłową i osławioną nowelę szkolną. W układaniu pierwszej Rudolf Mejer przyjmował udział bezpośredni, z nowelą szkolną jednak nie mógł się pogodzić. W ostatnich czasach nastąpiły między nim i socyalno - arystokratami pewne starcia, ponieważ Meyer zaczął popularyzować swoją teoryę ekonomiczną i rozszerzać ją na stosunki rolne, co złowrogo dotknęło interesy właścicieli fideikomisów. Ci ostatni usunęli się odeń i wyłączyli go ze składu redakcyi *Vaterlandu*. Niedawno Meyer wydał nowe swoje dzieło: *Ustawy ekonomiczne Stanów zjednoczonych*, *Kanady*, *Rosyi*, *Chin*, *Indyi*, *Rumunii*, *Serbii i Anglii*, nader ciekawe ze względu na sprawy powyższe, a bardziej jeszcze na stosunek autora do silnego swym wpływem stronnictwa parlamentarnego, umiejącego wyzyskiwać spory narodowe na korzyść swoich celów, niemających nic wspólnego z dobrem społecznem i postępem. W pracy tej Meyer ostrzega przed utożsamianiem jego ideałów ekonomicznych z dążeniami większości parlamentu austryackiego i wyjaśnia swoje dawniejsze stosunki z przywódcami tych wsteczników. „Tak nazwani konserwatyści austryaccy — mówi on — rozegrali ze mną partyę niegodną. Dopóki byli w mniejszości i opozycyi, milcząco zgadzali się na wszystko, aby robotników i drobnych rękodzielników łudzić nadziejami reform społecznych, jakie mieli niby przeprowadzić po dojściu do władzy. Wówczas i ja miałem wpływ na masy. Wpływ ten wstecznicy starali się chytrze wyzyskiwać. Teraz jednak stało się całkiem co innego. Panowie ci zajmują obecnie stanowiska ministrów i namiestników, a ze wszystkich reform, obiecywanych przezemnie w ich imieniu, wymęczono zaledwie nową ustawę przemysłową, która ich nie będzie kosztować ani grosza, ponieważ wedle ustawy robotnicy sami muszą ponosić wydatki organizacyi przemysłowej i wypróżnić swoje biedne kieszenie dla napełnienia kas rękodzielniczych. Obecnie popularność owych konserwatystów już przepadła, a jak się teraz okazuje, pracowali oni wbrew własnemu życzeniu — „pour le roi de Prusse.“ Proszę ludy austryackie darować mi moją pomyłkę osobistą, a mam nadzieję otrzymać przebaczenie, ponieważ nie brałem udziału w nowej anti - socyalnej, pseudo - konserwatywnej, czysto kapitalistycznej polityce tych panów.“

Dalszy ustęp z przedmowy dzieła zasługuje na przytoczenie, ponieważ w nim wypowiada autor konserwatystom kilka prawd, pod któremi podpisaliby się postępowcy wszelkich odcieni, pragnący dobra ludu: „Jest wielu wierzących katolików — mówi on — którzy utrzymują, że kwestyę społeczną zdolny rozwiązać jedynie kościół katolicki. Zapominają oni, że miał on do tego nieraz sposobność w wielu państwach, a przedewszystkiem u siebie, a mimo to z niej nie skorzystał. Czyż to nie dziwny fakt, że położenie mas ludowych w państwach katolickich (romańskich) Europy i Ameryki jest nierównie gorsze, aniżeli w protestanckich i że kraje katolickie Europy i Ameryki są bardziej rewolucyjne, niż protestanckie? Pochodzi to stąd, że oświata ludu w pierwszych stoi nierównie niżej, niż w drugich. Lud bardziej oświecony jest produkcyjniejszym od mniej rozwiniętego; stan roboczy oświeceńszy, jeśli tylko korzysta ze swobody politycznej, zdolny jest wywalczyć sobie daleko wyższe zarobki. Bardzo niski stan oświaty nie sprzyja wytwórczości, a przeciwnie, podniesienie poziomu wiedzy sprzyja nadzwyczaj wzrostowi produkcyjności pracy. Jest to widocznem w Prusach a nadewszystko w Ameryce północnej. Robotnicy w tych krajach umieją wybornie obchodzić się z maszynami, gdy tymczasem dla nieokrzesanego robotnika węgierskiego umiejętność ta jest bardzo trudną. Oświata i wolność zamieniają się na mięso i dają spokojną pracę i porządek. Ale oświata i wolność spotykają silne silne przeszkody w walce o byt, a wtedy łamią one zapory. Robotnikowi niemieckiemu np. dano oświatę, alo wynagrodzono to sobie prawami przeciw socyalistom; robotnik belgijski cieszy się swobodą, ale mu nie dają oświaty — obaj przeto są rewolucyjni. Robotnicy zaś amerykańscy i szwajcarscy posiadają i wolność i oświatę dlatego są spokojni i pozyskali wyższą płacę zarobkową. Przywódcy stronnictwa w Austryi chcą po faryzejsku uszczęśliwić robotników obowiązkiem nauki sześcioletnim, zamiast ośmioletniego, ale to krok zarówno niebezpieczny jak głupi. Katolicy belgijsko-fran-

---

— Oj, Małgoś moja, tyś mi była oczkiem w głowie, palcem serdecznym u ręki, raz inoś mię w życiu sprała i to na winne jabłko!

Łukaszowa jej do wtóru:

— A cóż to była za gospodyni! Bywało, kiej cię spotka, to zara dobrą tabaczką poczęstuje i dobre słowo powie i poradzi, a w końcu i nawymyśla od siedmiu boleści.

A Franka na to:

— Jak starego trzymała w garści! Ani jej drgnął, ani kiwnął!

Na to się Andrzej obruszył, choć bardzo był zbolały:

— Przestańcie tak trąbić baby nad uszami, bo i nieboszczce nawet nie dajecie spokoju.

— Głąbie ty jakiś, umarła już ona spokojnie i ani mruga oczyma! — rzekła Magda i zaczęły wszystkie znów lamentować.

Janek w ciągu dwu dni następnych wpatrywał się w matkę z wielką uwagą i odgadywał, że coś się złego święci. Nazajutrz po śmierci przyszedł, kiedy leżała na katafalku, i zaczął ją trącać w łokcie.

— Matulu, toć my jesteście dziś nie uczyliśmy się, teraz już jesteście tacy spokojni, macie sporo czasu!

Matula milczała, niestety! Miała ona czasu za wiele, całą wieczność przed sobą. Janek się dziwił.

— Ej mały! — rzekł uśmiechając się dziad Ambrozek, co klepał za pieniądze nad umarłą pacierze — uciekaj, bo matula jeszcze wstaną.

Janek zląkł się tej matuli, która go tak kochała, usiadł w kąciku i przyglądał jej się zdaleka.

Tymczasem przyszli z księdzem jacyś ludzie i śród nowych lamentów Andrucha, dzieci oraz sąsiadów ciało jej złożyli do trumny. Janek z początku nie chciał pozwolić na taki gwałt; dziwił się, iż matula, co lubiła hałasować, pozwala się pakować jak rzecz do kufra; płakał tak, iż Magda musiała go wziąść na ręce i utulić. Ksiądz śpiewał wraz z Wojciechem, którego nos jeszcze bardziej poczerwieniał, niż zwykle, pokropił trumnę święconą wodą i poszedł sobie do domu.

Napróżno Andrzej błagał go o odprowadzenie ciała nieboszczki do grobu; kapłan się wymawiał, zapewne rozumując sobie tak: dziś mamy porę jesienną, na świecie grasują gorączki, gorączki dziesiątkują ludzi, ksiądz jest człowiekiem, więc...

Wojciech zgodził się iść za trumną i śpiewać.

Janek pozostał w domu: dano mu pierników i otarto łzy cukierkami. Kondukt żałobny posuwał się śród ulic Zacofanego a trumna na wozie za każdem uderzeniem koła o kamień stukała: Andruch biegł ją poprawiać; zdawało mu się, że tam jego biedna stara czuje każde wstrząśnienie i uderza siwą głową o twarde drewno. Za trumną szli sąsiedzi, sąsiadki i trochę gawiedzi. Wojtek i Bartek, naprzemian płacząc i śmiejąc się, wyprzedzali znacznie kondukt. Mrok zapadał. Na dworze był mróz i gruda, drobny, niewyraźny śnieg pruszył. Cmętarz leżał za miastem: trochę krzyżów połamanych, trochę drzew koślawej urody, kawał ogrodzenia — oto wszystko, co stanowiło w mieście Zacofanem mieszkanie umarłych.

Prędko załatwiono się z pogrzebem: spuszczono trumnę do grobu i obsypano ją grudkami ziemi śród płaczu.

— Dość już tych lamentów Andrzeju — rzekł Wojciech —umarła, świeć Panie nad jej duszą, możesz być o nią spokojny, nic się jej złego nie stanie, przetransportowaliśmy ją i w całości oddali ziemi.

— Ha, tyś skrybent Wojciechu, jak mówią ludziska, tobie na nos kapie, a ty się cieszysz, że sucho, ale mnie!.. Oj robaki moje biedne!—dodał, patrząc na synów.

Magda kiwnęła na Andrzeja i Wojciecha i poszli wszyscy razem do tak zwanej komory celnej Mośka, gdzie każdy przed wnijściem do miasta musiał awizować złotówki do zamiany na spirytualia, poszli dla rozpamiętywania w tym przybytku cnót nieboszczki, która — jak mówił Wojciech — zajęła opłacone z góry mieszkanie i poszła na łaskawy chleb niebieski. Wojciechowa zaś ukończyła z dziadami pieśni pobożne, które musiały już połowę niebo-

cuscy mniemają, że tylko kościół może rozwiązać kwestyę socyalną... Nie należy jednak przytem zapominać, że klasy robocze bynajmniej nie są skłonne do zamiany kwestyi społecznej na kwestyę nędzy. Nic nie jest bardziej rewolucyjnem w skutkach nad ślepy upór wsteczników. Pod owym wstecznym uporem, rozumiemy owo ciemne utrzymywanie *status quo* przepisów istniejących, bez uwagi na to, czy przepisy te nie stoją w sprzeczności z nowemi potrzebami, kulturą i pojęciami o prawie i sprawiedliwości. Uporczywy konserwatyzm uważa zawsze prawodawstwo istniejące za rzecz skończoną, albowiem przy ustawach obecnych czuje się on do pewnego stopnia uprzywilejowanym.“ Oto co mówi austryacki konserwatysta — nie uparty.

Najlepszą do słów tych ilustracyą są nieustanne zaburzenia społeczne i polityczne w Austryi.

TEKA NIECZUI.

III.

List trzeci, traktujący o ostatniej wojnie rosyjsko-tureckiej, podczas której wynaleźli stańczycy słynną zasadę „szlachetnej denuncyacyi“ — nie będzie dla nas przedmiotem głębszego rozpatrzenia. Autor krytykuje ówczesne zachowanie się Andrassego, kreśli ówczesny stan kraju i potępia stańczyków za zdenuncyowanie spokojnego społeczeństwa. Podczas wojny tureckiej — powiada — nietylko żadna konspiracya lub zmowa nie istniała w kraju, ale nawet nie znalazłbyś ani jednego człowieka, któryby sądził, że galicyanie, porozumiawszy się z turkami, mogliby sprządzić skuteczną przeciw Rosyi dywersyę. Myśl ta wyszła od cudzoziemców, odnosiła się tylko do Siedmiogrodzkiej wyprawy i była protegowaną przez turków, anglików i francuzów. O wystąpieniu polaków do działania nikomu się nawet nie śniło. Pomimo to dla pozyskania chociaż *pozoru zasługi* wnieśli stańczycy do rządów dwie denuncyacye, usiłując dowieść, że w kraju istnieje rozgałęziony spisek. W denuncyacyach wymieniono nazwiska osób, jakoby stojących u steru owego zmyślonego spisku, podając ich tym sposobem w podejrzenie — nadto sfabrykowano protokół posiedzeń, przez jakiś tajny rząd odbywanych i w licznych odpisach rozrzucono go po całym kraju. Rząd austryacki denuncyantom nie uwierzył na słowo, przekonał się wkrótce o ich wartości i po prostu rzucił je do kosza.

W tymże liście porusza Kaczkowski lojalność stańczyków dla Austryi, nie wierzy w jej rzetelność i trwałość, przytacza na to przykłady i stwierdza właściwe temu stronnictwu „fluktuacye,“ zmieniające się według wiatru... Upomina przytem Austryę, aby nigdy nie użyła stańczyków. Ich wystąpienie wpłynąćby mogło na ogół ujemnie. kto wie, czy nie całkiem zabójczo — i stańczykom zdarzyłoby się to samo, czego doznał Dumouriez, gdy przyszedłszy do austryaków niby to ze swoją armią, sam jeden się stawił—kiedy zaś zapytano go: Gdzie są twoi żołnierze? — odrzekł: Zdrajcy! nie chcieli opuścić sztandaru!!..

Rusią zajmuje się autor w liście czwartym, pragnie zgody i krytykuje dotychczasowe postępowanie nasze z rusinami a za jedyny sposób zażegnania rodzimych swarów uważa nadanie braciom naszym tego wszystkiego, co sami posiadamy. Oto bliższe zapatrywanie się autora na załatwienie sprawy rusińskiej: Naprzód należy nam przyznać, że rusini są — i trzeba, ażeby to przyznanie u nas w krew weszło; potem przyjąć jako zasadę postępowania wielkie słowa Unii: „Równi z równymi“—a wtedy wszystko inne „będzie przydane,“ nie prędzej wszakże, aż szlachta osiadła na Rusi nie zacznie uważać się za szlachtę ruską. Wprowadzenie sprawy pojednania na tor odpowiedni obu narodom daleko więcej — pisze autor — zależy od zachowania się szlachty względem ludu w życiu społecznem, aniżeli od praw i ustaw, które się dyskutują na sejmach. Ustawy bowiem i prawa z politycznemi zmianami mijają a wspólność uczuć i myśli, oraz wypływająca z niej wspólność interesów i celów przechodzi z mlekiem matek z pokolenia na pokolenie i pozostaje na wieki. Przedewszystkiem zaś należy się wystrzegać popełniania takich błędów, jak niedawne nasłanie Rusi, znienawidzonych tam jezuitów. Zasłużony krajowi zakon XX. Bazylianów, jeżeli się skaził ostatnimi czasy, uległszy propagandzie świętojurców — to należało pomyśleć o jego poprawie, a nie nasyłać Rusi wstrętnych dla niej jak padalec jezuitów, nie przykładać na rozbolałą ranę piekących wizykatoryj.

Następnie zastanawia się *Teka* baczniej nad Zgromadzeniem Zmartwychwstańców, zarysowuje historyę tego zakonu i szczególniejszą opieką otacza księdza Kalinkę, znanego niegdyś demokratę i rewolucyonistę—oddaje mu słowa uznania za założenie we Lwowie bursy bezpłatnej dla ubogich synów księży ruskich, ale surowo krytykuje jego działalność na polu piśmienniczem. Rzecz idzie o *Sejm czteroletni* i *Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta.* W usta Lelewela kładzie Kaczkowski słowa tej treści: Przedewszystkiem — zaznacza — tak się nie pisze historyi, jak ksiądz Kalinka. Historya opowiada polityczne usiłowania i wypadki, ocenia je i wykazuje, jaki był ich wpływ na życie i rozwój narodu i państwa. Co jest po za tem, jest albo materyałem albo anegdotą. Jeżeli ksiądz Kalinka dobrał się do nieznanych materyałów, to powinien był je osobno i w całości ogłosić, ogłosiwszy zaś, mógł potem za ich pomocą napisać historyę. Lecz napisawszy książkę, ktora ma być historyą a nadziana jest wyjątkami z nieznanych nikomu materyałów, utworzył coś, co może tylko należyć do kategoryi pism politycznych, fabrykujących się dla propagandy pewnych politycznych teoryj. Jakież są tendencye księdza Kalinki? Oto przedewszystkiem poparcie bezwzględnej autokracyi. W tym głównym celu poniewiera konstytucyą 3 m., potępia jej znakomitych promotorów, wyszydza ich uczucia, myśli, zasady a nawet podejrzywa czystość ich zamiarów. W tym samym celu probuje umyć — Stanisława Augusta! Przyjemnych marzeń i roboty!... Jeżeli to prawda, co powiadają, że ksiądz Kalinka pisząc swoją historyę, przed każdym rozdziałem rzucał się na kolana i prosił Boga, aby go duch św. oświecił i natchnął—to po przeczytaniu jego książki można go upewnić, że modlitwy jego nie dochodzą do nieba a nie duch św. unosi się nad nim...

Zasłużone pioruny rzuca *Teka* na Zmartwychwstańców, oświadcza się przeciw jednoczeniu sprawy narodu ze sprawą kościoła i zakładaniu nowych zakonów polskich w Rzymie, jako niebezpiecznych dla

---

szczyków ze snu śmiertelnego ocucić, a drugą połowę na nieprzyjemne sny narażać.

Tymczasem Janek, nierozebrany, spał w swem łóżeczku i przez sen wołał: „matulu!“

Śnieg spadł w nocy i całunem okrył świeżą mogiłę. Drzewa w tej zimowej odzieży wyglądały jak wielkie ptaki, roztaczające białe, owiane srebrnym puchem pióra wysoko do góry. Na polach było cicho, biało i martwo, jak gdyby nieprzespany sen śmierci, zdjąwszy starą Małgorzatę, ogarnął także i całą naturę.

Janek zbudził się wcześnie i zaczął ze łzami prosić: jeść. Na głodno przypomniał sobie swoje sieroctwo i gdyby poczciwa sąsiadka Jakóbowa nie ugotowała dzieciom polewki ze szperką, to przymarłyby głodu. Po południu przywędrował do domu Andruch, ale jakoś strasznie markotny po nocy, przepędzonej pod ławą u Moška; spojrzał z wyrzutem na łóżko, gdzie jeszcze kilka dni temu dogorywała Małgorzata i uczuł żal do swojej baby, że go tak na stare lata opuściła. Pogłaskał po głowie Janka, który ziębnięty tulił się do pieca, znalazłszy jeszcze tam trochę ciepła, w końcu położył się, wydając ciężkie westchnienia.

Nazajutrz wziął się do ubierania Janka, którego dotychczas matula zawsze stroiła. Była to trudna operacya dla szewca, a trudniejsza jeszcze dla dziecka; ojciec więc się złościł i utarł przestraszonemu chłopcu tak mocno nos, iż omal mu go nie oderwał. Janek zaczął głośno krzyczeć. na czem ucierpiały znowu jego uszy. Następnie musiał z ojcem odmówić pacierz z pewnemi odmianami i skróceniami tekstu. Andruch, zastępując dalej matkę, chciał go uczyć, ale wkrótce cisnął gniewnie elementarz w kąt, zasiadł do roboty w drugiej izbie i pracował uparcie do późnej nocy. Ba, pracował całą zimę, ani razu nie wysunął się do Moška lub Berka po energię, ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich kum i kumów, którzy mówili o nim:

— No, proszę, jedną ino pochował niebosczkę i tak lamentuje.

Pracując nasz Andruch, nieraz myślał o Janku, w końcu razu jednego rzekł sobie.

— Rozpróżniaczyło się to licho po kątach, nie przymierzając dziecko jakiego dziedzica, teraz niech popracuje.

I zaczął od próbowania, czy chłopiec ma mocno osadzoną głowę na karku i czy włosy mu dobrze trzymają się skóry.

— To jest mój fach—mówił, zaczynając pedagogikę od bata.

Kazał z początku Jankowi przypatrywać się robocie: dziecko siedziało w milczeniu, spoglądając wytrzeszczonemi od strachu oczami na ojca. Później mu tłomaczył sposób użycia różnych narzędzi sztuki szewckiej. Mały słuchał, a że bał się siarczyście, więc nic nie rozumiał. Bracia pokładali się od śmiechu, a stary łapał się za głowę i krzyczał:

— O, rety! co mi popsuła ta adukacya— i zabronił Jankowi zaglądać do elementarza. Ten, gdy ustała praca wieczorna i gdy odeszła Kaśka, co się najmowała dziennie do roboty, siadał pod piecem i myślał o swojej matuli:

— Położyli ją do kufra — mówił do siebie—wywieźli za miasto i schowali do ziemi na takie zimno! A mnie tak źle bez niej, tak źle!.. Męczą, mało jeść dają, uczą szyć buty i to jeszcze dla cudzych ludzi, a biją, biją, co wlezie!

Tu spojrzał na obraz Matki boskiej, przed którym, jak dawniej, płonęła lampa i zdało mu się, że oblicze jej bardzo podobne do twarzy jego matuli i ma ten wyraz, jaki ona miała, ostatni raz nań spoglądając przed śmiercią. Wyciągał do obrazu ręce i wołał:

— Matulu, tak mi źle na świecie, matulu, chodźcie do mnie!

I zanosił się od płaczu, co słysząc Andruch, zniecierpliwiony, kazał mu iść spać. Zasypiał chłopiec i długo w jego uchu brzmiały wesołe śmiechy braci. którzy, swawoląc, nazywali go: „beksa!“

(D. c. n.)

kraju, gdyż zakon taki oderwany od gruntu, działający pod wpływem władzy kościelnej, musi koniecznie dać pierwszeństwo jej interesom nawet wtedy, gdyby one były wprost przeciwne interesom narodu. Na tem miejscu przypomniawszy ks. Staszica, który był za zniesieniem zakonów, uważając je za siedlisko pasorzytów i uszczuplające siły robocze narodu — przechodzi autor do historyi powstania Zmartwychwstańców. W r. 1836 grono młodzieży polskiej założyło w Paryżu przy ulicy Notre Dame de Champs, prywatny klasztorek, bez reguły i funduszów, zapełniony zakonnikami bez święcenia i chodzącymi w sukniach świeckich. Byli to emigranci z r. 1831 — zapaleńcy i fanatycy. Straciwszy wiarę w pomoc ziemską dla kraju, uciekli się do wiary w zbawienie za pomocą cudu. Cechowało ich przeto głównie *zwątpienie*, na tem gmach swój zbudowali i tem tchną ich wszystkie pisma a nauką jest; że nam nie zostało nic więcej, jeno starać się o zbawienie duszy— gubi ją zaś ten, kto inaczej myśli i według tego działa!! Zresztą dopóki jeszcze przebywali w owym świeckim klasztorku, mogli budzić dla siebie pewne współczucie i uszanowanie — ale gdy zamienili się w zakon duchowny, gdy przejęli główne zasady od jezuitów i przestali być zakonem polskim, są odtąd trującem zielskiem. Obchodzi ich tylko los Zgromadzenia, nie kraj; „miłość jego jest cnotą przyrodzoną— powiada słynny ksiądz Kajsiewicz—a nam trzeba się ćwiczyć w cnotach nadprzyrodzonych.“ Wszak lepiej zakon ten nazwać zakonem Pogrzebania?!

Z powodu praktyk jezuickich przesuwa autor przed czytelnikami krwią pisane dzieje fanatyzmu religijnego, szczególniej daje szeroki obraz wiekopomnych czynów św. Inkwizycyi z jej hersztami, z Torquemadą rzucającym na stos przeszło sto tysięcy ludzi i z kanonizowanym przez Piusa IX zbrodniarzem — Arbuezem.

Dziwnie pięknie od tych scen strasznych odbija ustęp, opisujący nagłe zjawienie się Chrystusa.

Kiedy ucichły rozprawy — opowiada Nieczuja — a świętą grozą przejęci, jedni z nas rzucili się na ziemię, inni klęcząc wznieśli do nieba ręce, stanął nagle przed nami Chrystus, w długą, białą szatę przybrany, z twarzą poważną cierpieniem lecz pogodną, i rzekł do nas najprzód:

— *Sacerdotis est benedicere.*

Potem podniósł prawą rękę i błogosławił nam, mówiąc:

— Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego; to jest główna podstawa mojej nauki.

Czy nasze duchowieństwo zasadę tę dość wyznaje?

Ostatnie dwa listy przejrzymy w następnym numerze, a mając całość, łatwo przyjdziemy do wniosków.

J. Z.

Z GÓR.

II.

(W Tatrach).

Nadeszła sobota, ale nie przybyła obstalowana z nią pogoda. Ponieważ jednak słońce ukazuje się w Tatrach po to tylko, ażeby ludzie nie zapomnieli jego twarzy, więc zebraliśmy się o naznaczonej godzinie przed domem wodza wycieczki — prof. Chałubińskiego: oprócz mnie, prof. W. z synem, p. D. z bratem i szwagrem, oraz gromada górali, mających nieść przybory i zapasy, grać, tańczyć lub śpiewać. Oryginalny był widok tego orszaku, rozłożonego na schodach i ławkach ganku! Ci nucą, tamci wiążą rzeczy, inni roznoszą herbatę lub smarują buty łojowemi świecami, a każdy od czasu do czasu wierci w szarem niebie oczyma z nadzieją, że wydrąży niebieski jego skrawek. Tymczasem niebo płacze coraz rzęsistszemi łzami. Nareszcie... chmury się rozdarły i ukazały kawałek błękitu. Na to hasło pogody (!) ruszamy przy dźwiękach muzyki, śpiewu i śmiechu. Gdyby ktoś, nieznający rozrywek zakopiańskich, spostrzegł był naszą karawanę, nad którą bardzo groźnie przesuwały się ciemne obłoki, pomyślałby niezawodnie, że nas konieczność wygnała z domu lub że przy pomocy dwu rewolwerów idziemy gwałtem prostować granicę polsko-węgierską na grzbietach Tatr. A myśliśmy tylko na spacer po górach!

Najniesłuszniej z prof. W. zaliczony do inwalidów, wspinam się na pierwszą, łagodną wyniosłość konno. Zapewne byłbym zniósł to upośledzenie i nie uczuł litości dla mego wierzchowca, który miał dosyć pracy z dźwiganiem własnego ciała, gdyby na górze wiatr nie zaczął dąć tak silnie, że chwilami wierzyłem w możliwość nadprogramowego spadnięcia w zaciszniejszą, ale głęboką dolinę. Skoro wspaniałomyślność da się połączyć z korzyścią nie jest ofiarą trudną — dla nas obu, bo obaj złazimy z koni i postanawiamy iść pieszo. Droga jeszcze dosyć wygodna, ale wkrótce ginie w morzu olbrzymich głazów, niby skamieniałych fal, które już trzeba przebrnąć na własnych nogach. Śmiało debiutuję w skakaniu — jakoś idzie nieźle. Gdy wszakże zatrzymujemy się na krótki odpoczynek, wyprowadzam sobie wniosek, że Magistrat warszawski powinien ustanowić kilka stypendyów dla reporterów kuryerowych, którzy posłani jego kosztem w Tatry, z pewnością przestaliby wydziwiać nasze bruki i pisaliby ody na cześć ulicy Brzozowej. Niebo się kwasi, ale nie odbiera nam całej nadziei: chmury albo przesiewają się przez drobne sito, albo przelatują nad nami szybko. Komenda brzmi: na Zawrat! Docieramy więc do Czarnego Stawu i zaczynamy po raz pierwszy wspinać się na dość stromą i trudną pochyłość ku Zmarzłemu. Tu już śnieg rozpościera się wielkimi płatami, nic uprzykrza jednak drogi. Wkrótce też znajdujemy się na wypuklinie ściany olbrzymiego, nieforemnego lejka, którego szerszy otwór nakryły szare chmury, a węższy zaległo jeziorko — Zmarzłe. Przez szczerby tego lejka przesuwają się lekkie pary, tu i owdzie ulatują one jak dym, dobywający się z pogorzeliska gmachu, po którym zostały tylko poszczerbione mury. Jednym z najwyższych, zadymionych wyłomów jest właśnie oczekujący nas Zawrat.

Odpoczywamy w tej dzikiej a wspaniałej kotlinie. Dotąd odurzony lub zajęty pokonywaniem trudności, nie mogłem uporządkować wrażeń. Teraz dopiero się one szeregują. Temperatura zniżyła się do 7 stopni, niebo nabrzmiało chmurami, zimno i posępnie, a przecież nie można oczu oderwać od tego krajobrazu. Co w nim nadewszystko czaruje? Ogrom. Umysł mieszkańca dolin, nawykłego do widoków łagodnych i przedmiotów drobnych, czuje się rozpartym temi kolosalnemi skałami. Wszystkie one, gdyby przysiadły do ziemi, wyglądałyby mizernie, nudno, jak wygląda np. wyżyna Karstu w Alpach. Wyprostowawszy się tak wysoko, w kształtach zwykle smukłych, ostrych, u spodu i w środku okryte zielenią smereku i kosodrzewiny, na czubach zaś gołe i osłonięte jedynie turbanami z obłoków, tchną jakąś nieopisaną grozą. Jeżeli bojaźń rodziła religię, dlaczegóżby nie miała zrodzić zachwytu? A jest to zachwyt potężny, wypierający wszystkie inne uczucia, przyniesione z dolin. Tam, śród brył małych, maleje nam przestrzeń; tu ona się rozciąga, granice swe posuwa dalej, bo chłonie w sobie takie olbrzymy.

Mimo całego przywiązania do cywilizacyi, człowiek instynktowo nie zapomniał, że jest synem natury i zawsze chętnie powraca do matki. Tu on ją odnajduje i rozmawia z nią bez świadków. Gdzieś... tam, nisko i daleko, turkocą koła maszyn i skrzypią warsztaty życia cywilizowanego, rozdając ludziom dobrodziejstwa i wygody, klęski i cierpienia. Tu ów zgiełk nie dochodzi, tu samotność, cisza, przerywana jedynie lekkiem biciem odpoczywających serc. Doprawdy, kto chce pokrzepić swe siły, uciec od ludzi, wypłakać się, wyżalić, zatopić wszystkie swe kłopoty i smutki w rozmyślaniu, niech tu przyjdzie, przytuli się do łona pierwszej lepszej skały, rzuci wzrok w przepaść lub oprze o jakiś szczyt — wróci do świata spokojniejszy. Poważne olbrzymy, które go obstąpią, nie przerwą swego wiekowego milczenia i nie zakłócą uroczystej ciszy...

Popas skończony — wchodzimy na Zawrat. Żądni łatwych tryumfów podróżnicy podtrzymują dotąd sławę niebezpiecznego przejścia tej góry. Tymczasem prof. Chałubiński ma zupełną słuszność, twierdząc, że przez Zawrat niedługo chodzić będą... krowy. Nic bowiem już dziś (może dawniej!) nie przeszkadza, prócz zsypanych pochyło kamieni, które osuwając się z pod nóg i spadając coraz szybciej, mogą grozić niżej idącym. Ale przeciw temu wystarcza ostrożność i posuwanie się gęstym sznurem. To też bez wielkiego trudu stanęliśmy na przełęczy. Przez chwilę, krótką, jak mgnienie oka, niebo rozjaśniło się i pozwoliło nam objąć widnokrąg w długim promieniu. Dziwna panorama! Gdy nas okrywa wielka chmura, jej brzegi przy odległych stokach i dolinach złoci słońce. Nad nami burza a w odsuniętej dali piękna pogoda. Zaledwie wszakże zdołaliśmy pochwycić ten kontrast obrazu, otuliły nas mgły i zasłoniły widok. Jak świstaki przyczepieni do boków skały, siedzieliśmy długo, oczekując od huczącego wichru rozdarcia obłoków. Daremnie!

Schodzimy do doliny Pięciu Stawów. Wiatr rzuca na nas smugami drobnego deszczu. O rozglądaniu się nie ma mowy. Próbujemy znowu go przeczekać w szałasie — siecze coraz mocniej. Mieliśmy przez Mięguszowiecką zsunąć się do Rybiego (Morskiego Oka) t. j. odbyć jedną z najpiękniejszych wycieczek, teraz musimy dążyć do schroniska przez Swistówkę. Deszcz zamienia się na ulewę. Posuwamy się jak żywe rynny, gdyż woda strumieniami przebiega wzdłuż naszego ciała. Mimo to niepodobna przejść obojętnie około uroczego Wołoszyna, który stoi w srebrzystej i lekkiej szacie ze strumieni deszczu. Noc już zapada — mokro, ślisko a ubrania nasze jak gąbki. W gęstej mgle widzimy tylko cienie gór. Nareszcie, przy pochodniach, w fantastycznym pochodzie dostajemy się do schroniska przy Rybiem*). Cztery godziny bez przerwy na zimnie moknąć — cóż to za pyszny będzie jutro katar!

Ani śladu. Nie wierzę — badam się... Jestem zdrów, niezmęczony. Co to znaczy? Wszakże lekkie zamaczanie nóg w rynsztoku warszawskim sprowadza zwykle kilkudniową chorobę. Jest to właśnie tajemnica powietrza górskiego.

— Przed kilku laty — powiada prof. Chałubiński—byliśmy na wycieczce. Temperatura dochodziła 6 stopni. W jednem miejscu woda zalała małą łąkę. Przeglądające ze dna kwiaty dziwnie zachęciły nas do... kąpieli. Rozbieramy się i zanurzamy. Woda miała 3 stopnie... a my po wyjściu z niej uczuliśmy miłe orzeźwienie.

Ale nie czas było rozmyślać nad tą zagadką, bo słońce zabłysło nad Rybiem.

*) Ponieważ właściwe Morskie Oko leży na stronie węgierskiej a polacy chcieli mieć je koniecznie, więc tem mianem nazwali o kilkaset stóp niżej położone, większe jezioro — Rybie.

Siadamy na tratwę i jedziemy do Morskiego Oka. Niebo z początku uśmiecha się z naszej wiary w jego łaski, lecz gdyśmy już dotarli do celu, zwala kłęby chmur w basen jeziora, zasłania widok gór i zaczyna znowu chlustać deszczem. Przemoknięci wracamy — i już przez cały dzień nie ufamy zdradzieckim pokusom. Wabią też one niezbyt silnie. Deszcz ustał, ale szczyty gór poobwijały się zasłonami białych mgieł. Strapieni górale, pragnąc rozegnać smutek, rzucili się gwałtownie do tańca, my zaś do jedzenia. Ach, jakże w górach wszystko jest smacznem — nawet kaszka — wodzianka!...

Po południu przechodzimy do innego schroniska — Rostoki, gdzie znowu odbywa się bal góralski. Nazajutrz drogą mało urozmaiconą powracamy do domu.

Przez trzy dni byłem w górach, a jednakże gdy nas spotkał we wsi pewien znajomy, ujrzawszy go, zacząłem się śmiać jak opętany. W czystej bieliźnie, eleganckim tużurku i błyszczących butach wydał mi się zabawną lalką, podczas gdy właściwie my obłoceni i zmięci przedstawialiśmy śmieszniejszy obraz. Tak oczy moje zdziczały!

Zacny prof. Chałubiński... Ale o nim pomówię z wami osobno, gdyż przyjrzałem mu się lepiej, niż górom i stawom a dostrzegłem wiele rzeczy ciekawych.

Tu deszcz mi nie przeszkadzał.

A. S.

FRANCISZEK MIKLOSICH

(Wspomnienie jubileuszowe).

Z powodu zbliżającego się (20 października b. r.) 70-letniego jubileuszu narodzin znakomitego słoweńca, Miklosicha, którego badania w dziedzinie języków słowiańskich nową utorowały drogę i nader ważne, jak to widzimy w pracach Antoniego Małeckiego, rzuciły światło na mowę polską, kreślimy treściwy obraz działalności naukowej słynnego lingwisty.

Osiwiały w pracy pobratymiec nasz, Franciszek Miklosich (według dawnej pisowni węgierskiej wymawia się Mikloszycz) ujrzał światło dzienne w Radmeszlaku pod Lotmerken czyli Lintomerem (Luttenberg) w Styryi dolnej (Steiermark) 1813 r. Przygotowany odpowiednio do kursów uniwersyteckich w gimnazyum w Warażdynie i Marburgu, udał się na wszechnicę w Gracu. Lubo zaszczycony godnością doktora filozofii, sprzykrzywszy sobie niebawem jałową w swoim czasie pod wpływem ciemnej i zawikłanej subjektywności umiejętność, przeszedł do pola prawa. Od r. 1838 zajął się w Wiedniu adwokaturą. Tutaj zawarł niebawem stosunki przyjaźni ze sławnym swojego czasu badaczem języków: staro-słowiańskiego i słoweńskiego, Bartłomiejem Kopitarem, wydawcą *Glagolita Clozianus* (zabytku z XI w.), wielce w specyalności swojej zamiłowanym. Kopitar, widząc zmysł spostrzegawczy Miklosicha, usiłował przeciągnąć go do przedmiotu swoich studyów, co mu się wkrótce pomyślnie udało.

Już w r. 1844 ogłoszona w czasopiśmie *Wiener Jahrbücher* ocena gramatyki porównawczej sławnego sanskrycisty Franciszka Boppa, rokująca dzielnego na przyszłość badacza, przyczynia się do rozgłosu młodego słoweńca. Księgozbiór cesarski w Wiedniu, którego Miklosich był bibliotekarzem, obfitujący w cenne i rzadkie pomniki starosłowiańskie, niewyczerpaną był mu skarbnicą. Dla cichej i mozolnej pracy naukowej odmówił zaszczytu posła na sejm (1848). W tymże czasie otrzymał katedrę języka starosłowiańskiego przy wszechnicy wiedeńskiej. Na użytek słuchaczów uniwersyteckich wydaje w r. 1850 głosownię i gramatykę języka starosłowiańskiego p. t. *Lautlehre und Formenlehre der altslovenischen Sprache.* Praca ta odznacza się, obok ścisłych podstaw naukowych, pożądaną treściwością; *Lautlehre* bowiem zawiera str. 52, *Formenlehre* około 70. Na zasadach, zawartych w owych dziełkach, opracował między r. 1852 i 1856 gramatykę porównawczą języków słowiańskich p. t. *Lautlehre und Formenlehre der altslovenischen Sprache* (wyd. II wyszło w 4 tomach od r. 1868 do 76). Tom czwarty tego dzieła zawiera pierwsze zarysy składni porównawczej, której nam brak jeszcze w piśmiennictwie, dotyczącem badań języka polskiego.

Podróże (w latach 1851, 52, 56) po Włoszech, Francyi, Niemczech i Turcyi przyczyniły się do odkrycia i zbadania cennych pomników językowych. Mimo urzędu cenzora ksiąg słowiańskich, nowogreckich i rumuńskich (od 1850—51), nie ustawał M. w żelaznej wytrwałości na polu, które niezbyt barwnem dla skrzętnego uprawiacza ściele się kwieciem. W r. 1851 zostaje zaproszony na członka Akademii w Wiedniu i mianowany dziekanem wydziału filozoficznego, następnie rektorem wszechnicy wiedeńskiej. Wsparty zasiłkiem pieniężnym księcia Michała Obrenowića, wydał zamierzony niegdyś przez mistrza swojego, Bartłomieja Kopitara, słownik języka starosłowiańskiego (*Lexicon linguae slovenicae veteris dialecti*, Wiedeń 1850), opracowany ściśle według najdawniejszych zabytków, z zachowaniem nawet (co ważną jest rzeczą dla badacza) pierwotnej pisowni źródeł. Wacław Hanka, znany odkrywca *Rękopisu Królodworskiego*, nazwał słownik Miklosicha kompilacyą Kopitara. Zarzuty jego ściągnęły ostrą odpowiedź autora. Rozprawa p. t. *Radices linguae slovenicae veteris dialecti* (Lipsk 1845) jest zestawieniem porównawczem rdzeniów i pierwiastków słowiańskich w stosunku do sanskrytu. Profesor wszechnicy w Pradze czeskiej, Józef Gebauer, przyznaje jej wyższość nad pokrewnem dziełem sławnego lingwisty rosyjskiego, Hilferdinga.

Niepodobieństwem jest w krótkiej wzmiance wyliczyć nawet tytułów wszystkich prac Miklosicha, które składają długi wykaz bibliograficzny; kilkoma więc tylko słowy zaznaczymy jeszcze charakter i ważność jego badań.

Zasadą i punktem wyjścia jest w nich język starosłowiański, który M. uważa za starosłoweński. Ponieważ język w rozwoju dziejowym przedstawia różnice głosowe i formalne, które się pod wpływem przepisywaczy rozmaitych plemion pobratymczych wyrodziły, przeto dla badacza może mieć wartość jedynie mowa najmniej skażeniu uległa i w dawniejszych zabytkach, zwłaszcza w XI w., zachowana. Szafarzyk, Schleicher i Hattala mowę tę, dzisiaj zamarłą i do liturgii cerkiewnej używaną, mienią dyalektem starobulgarskim. Miklosich zaś, jakeśmy nadmienili, przemawia za starosłoweńskim czyli starokorutańskim języka tego początkiem. Dawniejsi nawet badacze sądzą, znajdując podobieństwo starosłowiańskiego do innych narzeczy słowiańskich, że język ten jest macierzą całej gałęzi pobratymczych. Miklosich utrzymując, że starosłowiańskie *ła* (np. Władymir) jest pierwotnem względem staroruskiego *oło* (Wołodymir), niezupełnie jeszcze otrząsnął się z przestarzałych hypotez co do praojcowstwa starosłowiańskiego. Jan Schmid (*Zur Geschichte der indo-germanischem Vocalismus*, Weimar, 1878) odkrywszy prawo łączności płynnych *l r* z poprzedzającą samogłoską (np. *a+r* lub *l*, co on po sanskrycku *swârabhakti* nazywa), dowiódł, że łączność samogłoski poprzedzającej z następującą płynną *r* lub *l* jest pierwotniejszą od takiejże odwrotnej łączności płynnych z następującemi samogłoskami (czyli, iż *ir, ar, or, er* itp. dawniejsze od *ra, ro, re* lub *ła, ło, łe* itp.). Prawo więc Miklosicha, według Schmida upada. Bopp, Schleicher, ks. Franciszek Malinowski a nawet Baudouin de Courtenay, z zasady, iż samogłoskowość płynnych *l, r* jest wymysłem gramatyków sanskryckich, zwłaszcza Paniniego, hypotezę Miklosicha obalają. Do szczególnych zalet jego badań należy objaśnienie dźwięków nosowych *ą, ją, ę, ję*, które w nowszych pomnikach cerkiewnych przeszły na *u, ju* i *ja*. Niemasz atoli pewności, ażali starosłowiańskie *ą* wymawiano sposobem nosówki polskiej, która właściwie jest ścieśnioną względem prapolskiego *am, an* (*sandecz, samsiad, czeladź* zam. *czeládź* itp.). Według uczonego słoweńca wyrazy gockie: *plinsjan, mims, puggs* czyli *pungs*, przejęte są przez gotów ze słowiańskiego: *plęsati* (pląsać), *męso* (mięso), *pągwa* (grono jagód winnych) i odwrotnie następujące wyrazy przeszły do słowian z greckiego i staro-niemieckiego: *pienięz* (pieniądz), *knęż* (książę), *useręg* (kolczyk), *chądog* (biegły, znawca, doświadczony), *ąrod* (głupi, prostak) i *witęz* (bohater) zamiast: *phening, chuning, auso* (ucho) i *ring, kunding, un* i *rathjan* (ąrod) i *witing*. Deklinacya opiera się według podziału, przyjętego w gramatyce sanskryckiej Boppa, t. j. z uwzględnieniem końcówki pierwiastku, czy to samogłoskowej, czy spółgłoskowej. System konjugacyjny na 6 klas stanowi udoskonalenie pierwotnego szematu Dobrowskiego i różni się w niektórych działach od układu Augusta Schleichera.

Mimo zmian, które nastąpiły od czasu pamiętnego wydania *Lautlehre und Formenlehre der altslovenischen Sprache*, przyznać należy, żezasługi Miklosicha są niespożyte; albowiem zasady rzucone były przez sędziwego mistrza, chociaż ważne odkrycia Brugmanna, Osthoffa, Paula i Siversa niejedną dawniejszą hypotezę w niwecz obróciły, jednak niektóre z jego prawideł przez długie jeszcze wieki świecić będą na drodze postępu w lingwistyce porównawczej, która będąc nauką pomocniczą dziejów, z jednej strony opiera się na socyologii, z drugiej zaś na biologii. Porównanie np. form języka polskiego z narzeczami ludów słowiańskich, następnie pobratymczych z gałęzią rodziny aryjskiej, której kolebka ukrywa się gdzieś według domysłu uczonych w dzisiejszym Afganistanie, wykazuje wspólną jedność narodu naszego ze wszystkimi szczepami świata uspołecznionego. Zdobycz ta, z dziedziny wiedzy pozytywnej wyłoniona, pozbawia nas wrodzonej do innych narodów niechęci plemiennej; albowiem uczy nas, żeśmy tylko cząstką wszechludzkości, względem której zamiast zasklepienia się w swojej skorupie, winniśmy miłość i sąd bezstronny, stanowiący znamię narodu dojrzałego.

Justyn Feliks Gajsler.

Z Heidelberga.

Sierpień, 1883.

Szowinizm francuski. — Muł redakcyjny, który przywdział skórę litwina. — Denuncyacya. — Nowe dzieło o gubernii kowieńskiej. — Parsifal w Bayreucie.

Oj ten szowinizm, ten szowinizm! Ile on głów zamąca, jak wykrzywia serca ludzkie, a jaką grubą mgłą fałszu stara się prawdę otumanić! Ze spokojnego, ucywilizowanego człowieka, pod odurzającym wpływem zaciekłości plemiennej, robi się wilk szalony, wilkołak krwi chciwy, kłamca, oszczerca, odstępca, — a przynajmniej, w najlepszym razie, głupiec i złośnik.

Myśli te nasunął mi numer jakiejś mało znanej gazety południowo-niemieckiej. Czytam w nim co następuje: Pewien praktykant księgarski dał do wydrukowania we francuskiej gazecie księgarskiej następne ogłoszenie: Młody bawarczyk, władający dobrze językiem francuskim, od lat ośmiu zajmujący się handlem księgarskim, poszukuje miejsca we Francyi. Wynagrodzenia na początek nie pragnie. Następuje adres.

Propozycyi wskutek tego ogłoszenia nie otrzymał żadnej, ale za to dwa listy; jeden z Marsylii bez podpisu, a drugi z Paryża z pięciu podpisami. Pierwszy brzmiał następnie: „Marsylia, 25 czerwca, 1883. Zgłoś się pan przedewszystkiem do mieszkańców wsi Bazeilles (w okręgu sedańskim, w departamencie Ardennów), spalonej przez wojsko bawarskie, po poprzedniem zamordowaniu kobiet, dzieci i starców. Podpisano: Zbombardowany paryżanin, niecierpliwie oczekujący odwetu. Udzielić proszę ten okólnik wszystkim szlachetnym i mężnym giermanom, synom wielkiego narodu, poszukującym miejsca we Francyi."

Drugi list brzmiał tak: „Paryż 23 czerwca 1883. Panie! Subjekci księgarscy pewnej księgarni paryskiej wyczytali ze wstrętem w gazecie, że pewien młody bawarczyk pragnie posady we Francyi. Wymienieni subjekci uprzedzają młodego bawarczyka, że niema dlań miejsca w przyzwoitych księgarniach francuskich. Racz wiedzieć, że i bez was dość jest szpiegów we Francyi. Co się zaś tyczy dziennika, który miał bezczelność wydrukować wasz anons, mamy nadzieję, że drogo za to przypłaci. Niech żyje Francya! Gilla, C. Lattraye, Courier, E. Lattraye, Chollet."

. . . .

Przed tygodniem nadesłano mi świeże wydawnictwo komitetu statystycznego gubernii kowieńskiej, tom wielkiego formatu o 400 blisko stronnicach w języku rosyjskim, z licznemi tablicami, zatytułowany „Spis abecadłowy ziemian gub. kowieńskiej po 1 września r. 1881." Bardzo to zajmujący i, jak się zdaje, starannie ułożony materyał. Zawiera się tu lista imienna 7246 większych i mniejszych właścicieli ziemskich, z wyrażeniem nazwiska ich dziedzictwa, powiatu, cyrkułu i gminy, w których się znajduje, tytułu własności i czasu władania, ilość ziemi, „gotowego grosza," a nareszcie wskazanie, kto prowadzi gospodarstwo i gdzie mieszka właściciel. Cena sporego tomu stosunkowo niska—dwa ruble.

Najwięcej interesującemi są tablice, pomieszczone na końcu dzieła. Dowiadujemy się z nich, że owych 7246 ziemian, pod względem wyznań, grupują się w następny szereg procentowy: katolików na stu jest 89, prawosławnych—3, luteran—4, starowierców—2, niewiadomego wyznania (czyżby agnostyków?) 2, reformowanych—0,6, izraelitów—0,5, mahometan—0,001 (właściwie mniej, bo tylko jeden); cudzoziemców jest 127. Za granicą stale mieszka tylko 12 właścicieli i to cudzoziemców, W dzierżawie znajdują się dobra 1257 właścicieli, ale w tej liczbie jest 115 takich, którzy sami gospodarują w jednym majątku, a inne wydzierżawiają; w ręku rządców są dobra 341 właścicieli. Mieszka we własnych majątkach 6388 właścicieli, nie we własnych ogółem 736, a z tej liczby 312 w gub. kowieńskiej, a 424 w innych guberniach. Pod względem obszaru najwięcej jest posiadłości od 1 do 40 dziesięcin (53%), wyżej nad 5000 dz. posiada 17 tylko wybrańców fortuny.

W liczbie 7246 właścicieli oczywiście mieści się tylko cząstka drobnych, to jest włościan; zapewne autorowie książki zaliczyli tu tylko takich, którzy posiadłości swoje *już skupili*, gdyż ogół siedzib włościańskich z pewnością ogromnie przewyższa całą cyfrę 7246; dość powiedzieć, że są gminy, liczące do *tysiąca* siedzib włościańskich, a gmin jest przeszło sto; przypuszczam więc, iż w spisie, o którym mowa, nie zamieszczono włościan, którzy jeszcze ostatecznie się nie wykupili, a którzy, mimo to, do rzędu właścicieli ziemskich powinniby się zaliczać.

Krótki ten szkic statystyczny przedstawia gub. kowieńską w świetnych kolorach: ziemianie siedzą wszyscy w domu i gospodarzą przeważnie sami. Czy można piękniejsze świadectwo wystawić klasie rolniczej u nas? Zdaje mi się, że gub. kowieńska pod tym względem wzorem jest i wyjątkiem od naszego prawidła ogólnego. To też i owoce zbiera zasłużone: ziemianie cieszą się wysokim dobrobytem, a oświata wiernie za nim podąża.

A teraz przenieśmy się myślą w drugi koniec Europy, aż gdzieś w dziedziny frankońskie. Muszę oznajmić czytelnikom moim, że i *ego in Arcadia fui*. Byłem w Bayreucie na trzech z rzędu przedstawieniach *Parsifala*; 20, 22, i 24 lipca. Przyjechałem z pewnemi uprzedzeniami, wyjechałem oczarowany — „a jak się stało, opowiem."

Uprzedzam tylko z góry, że jeżeli mówię, żem był oczarowany, to nie ma znaczyć, abym został wagneryaninem: do tego bardzo daleko; pomimo zdradne sidła i zwodnicze uroki, wytrwałem w mojem zdaniu o rodzaju twórczości Wagnera, które nieraz w *Prawdzie* i gdzieindziej miałem sposobność wyrazić.

Jeżeli wartość dzieła sztuki ma się mierzyć efektem, to *Parsifal* powinienby zajmować pierwszorzędne stanowiske: przedstawienie jego, w tych warunkach, jak się je widzi w Bayreucie, wywiera ogromne wrażenie. Słuchacz zostaje pod urokiem zupełnej nowości środków działających, a wzgląd ten, w naszych „zblazowanych" czasach, waży niemało. Wszystko tu nowe, niespodziewane, nieprzewidziane: treść sztuki, sama budowa i urządzenie teatru, dekoracye, maszynerya, oświetlenie, pomieszczenie orkiestry, wreszcie efekty muzyczne. Wchodzisz ze świadomością, że czyhają tam na ciebie różne demony i pokusy, postanawiasz trzymać się mocno i trzeźwo; ale masa wrażeń tak uroczo działa, że wszystkie postanowienia upadają i ulegasz całym organizmem fascynacyi. Jest to swojego rodzaju haszysz: kto go raz zakosztował, tęskni za nim, choć wie, że fantasmagorie, które sprowadza, są złudną marą.

Trzy razy odurzałem się tym czarem; gdy minął grały mi w pamięci tajemnicze tony i przesuwały się przed oczami wyobraźni urocze widma. Całe to czarodziejstwo wydaje się snem, ale snem przyjemnym, snem na kwiatach. Dziś tęsknię do tej zaklętej groty, która się nazywa teatrem Wagnera; wrócę tam za rok i znowu będę się upajał narkotykiem. Wiem, że to źle, ale wiem także, że to przyjemne.

A teraz rozbierzmy na zimno wszystkie składniki tego porywającego uroku. Treść *Parsifala*, przypuszczam, jest znaną czytelnikom, więc jej nie powtarzam. Kto nie zna, niech raczy przeczytać ją w IV zeszycie *Ateneum* tegorocznego. Nie jest to opera, ale dramat religijny, misteryum w całem znaczeniu tego pojęcia. Jeżeli widowisko w Oberammergau sprawia potężne wrażenie przy śpiewie chłopskim, przy muzyce lichej i pod gołem niebem, to cóż dziwnego, że taki *Parsifal* wstrząsa wszystkie władze duchowe przy cudnym śpiewie, uroczej muzyce i z przepysznymi efektami scenicznymi. Tajemnicza ofiara, cud, duch święty z nieba zstępujący, Chrystus i Magdalena we własnej postaci, chrzest, głosy niebieskie, ognie tajemnicze, wszystko to, co w dzieciństwie rozogniało wyobraźnię naszą i, jak powiadał Kremer, tajemnym lękiem zdejmowało serce, wszystko to przesuwa się w *Parsifalu* jakby w sennem marzeniu. Można z wiekiem pozbyć się wielu złudzeń i wierzeń, ale w co się dzieckiem gorąco wierzyło, to na całe życie zostaje niemą struną, która w danym razie brzmi dawno znanem echem. Otóż to tajemnica pierwsza potężnego wrażenia *Parsifala*. Serce mięknie na widok tych postaci, które czcić i wielbić nauczyła babka i matka; człowiek się rozrzewnia i płacze... „na swe dzieciństwo sielskie, anielskie."

Teatr jest zbudowany w sposób niezwykły. Widzowie siedzą tylko w krzesłach (jest ich przeszło 1600) i w amfiteatrze w głębi sali; lóż niema; orkiestry nie widać, wpuszczona jest gdzieś w czeluście przed sceną; głosy narzędzi dochodzą w sposób niezwyczajny, jakby brzmiały ze wszystkich stron, z pod ziemi, z góry i z boków. Ciemno jest w sali tak, że ani libretta czytać niepodobna, ani widzieć publiczności. Cała więc uwaga skupia się na scenę i muzykę. Dekoracye są prześliczne, świeże; oryginalnie pomyślane. Przesuwają się one, w razie zmiany scen, jak mary, jak widzenia nocne, powoli, bardzo powoli, wśród prawie zupełnej ciemności; kształty nikną, pojawiają się jakieś niewyraźne drzewa, skały, zwaliska i mkną przez scenę jak brzegi rzeki, gdy się łódką płynie, a wszystko to wśród uroczej, potężnie na zmysły działającej muzyki; powoli robi się jaśniej i oczom zdumionego widza przedstawia się zupełnie nowa dekoracya; poprzednia zginęła niespostrzeżenie, jakby się rozwiała w mgłę i tuman. Ubiory osób działających, charakterystyka ich i mimika głęboko są wystudyowane i obliczone na niezmierny efekt. Wszystko się dzieje jakoś inaczej, niż na innych scenach: jakoś miękko, powoli, okrągło, poważnie, uroczyście. Gra orkiestry i śpiew aktorów są wypracowane do nadzwyczajnej doskonałości. Nigdy i nigdzie nie zdarzyło mi się takiego wykończenia napotkać. Jest to coś doskonałego, całego. Stu dziesięciu muzyków gra jak jeden człowiek, z niezwykłą czystością i cieniowaniem. Śpiewaczki i śpiewacy wystudyowali swe role do takiego stopnia doskonałości, o jakim trudno dać pojęcie; a nadto są to najpierwsze znakomitości sceny wiedeńskiej, drezdeńskiej i monachijskiej.

Przy tak znakomitem otoczeniu i wykonaniu, — a to tajemnica wtóra i może najwięcej przyczyniająca się do spotęgowania efektu, — pewne ostrości właściwe kompozycyi Wagnerowskiej łagodzą się i zacierają; dysonanse mniej rażą, nawet zdarzające się tu i owdzie recitativy, bez początku i końca, mniej nudnemi się wydają. A że nie brak i gienialnych ustępów, że instrumentacya jest nieporównana, więc całość, jako muzyka, wychodzi daleko mniej nierównomierna, niżeli w innych operach Wagnera, wykonywanych w zwykłych warunkach.

Można, jak ja, nigdy się nie pogodzić ze sposobem kompozycyi Wagnerowskiej, polegającym na programowem obrabianiu stereotypowych motywów, na niepewnym, robiącym wrażenie trzęsawiska, gruncie modulacyjno-tonalnym, na przesadzaniu w dysonansach i rozmyślnem unikaniu formy melodyjnej i zaokrąglonej; można z góry czuć i wiedzieć, że się poddaje haszyszowemu urokowi; ale niepodobna oprzeć się ogromnemu wrażeniu na widok *Parsifala*. Żywioły efektów są tak nowe, tak obrachowane, tak czasami szlachetne i wzruszające, że nikt z pewnością nie zdoła na zimno wysłuchać wspaniałego, bądź co bądź, przedstawienia.

Dano ich dwanaście w tym roku; zebrano pieniędzy tyle przynajmniej, że na rok przyszły wznowienie *Parsifala* w Bayreucie jest zapewnionem. Tymczasem inne teatry nie mają prawa przedstawienia jego; zresztą wątpić należy, izby się odważyły współubiegać z Bayreuthem.

Dosyć drogo opłaca się znajomość z przybytkiem muzy Wagnerowskiej. Miejsce kosztuje 20 marek, a hotele w mia-

steczku korzystają ze sposobności i tych, którzy się z góry o cenę każdej rzeczy nie umówili, obdzierają heroicznie.

Bayreuth ładnie wygląda: był niegdyś stolicą udzielnego panka, więc zachował ślady przebrzmiałej wielkości, kilka pałaców, bardzo ozdobny gmach opery (w którym dla braku zasobów nie grywają) i park ze staremi drzewami. Do parku tego przytyka willa Wahnfried, własność Wagnera, dzisiaj jego spadkobiercy Zygfryda. O kilkadziesiąt kroków od niej, w gęstwinie jodeł i cyprysów, kryje się potężna płyta granitu, przykrywająca zwłoki mistrza Ryszarda; stanie zapewne na niej wkrótce wspaniały pomnik. Tymczasem zastępuje go na odległem od miasteczka wzgórzu widniejący teatr, świadectwo niezmordowanej pracy, wytrwałości i wiary w siebie człowieka, który, jeżeli nie był wielkim, to w każdym razie niepospolitym i nawskroś oryginalnym.

Jan Karłowicz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

T. H. Huxley. **Wykład biologii praktycznej**, przetłomaczył August Wrześniowski. Warszawa.

Profesor A. W. znany w świecie naukowym z prac specyalnych, a w naszej literaturze—jako tłomacz wielu dzieł popularnie przyrodniczych, przysłużył się obecnie piśmiennictwu polskiemu przekładem cennej pracy Huxleya. Jest to książka, której doniosłości u nas nigdy zbyt przecenić nie można. Dziełko więc Huxleya przychodzi w porę. Materyał naukowy w niej zużytkowany i metoda, jaką się autor posługiwał, najzupełniej powyższemu zadaniu odpowiedzą. W *trzynastu* wykładach, z których pierwszy na *dziesięciu*, a ostatni na *stu* stronicach się rozpościera, zbadane są kolejno następujące organizmy: grzybek drożdżowy, pierworośl, pelzak, bakterye, pleśń, ramieniec, orlica, bób, wirczyk, stułbia, skojka, rak i komar, żaba. Ze spisu tego widać, iż wykłady dotyczą kolejno coraz to wyższych ustrojów i że w miarę wzrastającej ich złożoności poświęca im przewodnik coraz to więcej miejsca. Porządek nauczania w każdym wykładzie jest taki: po wyczerpującym teoretycznym opisie następują praktyczne wskazówki co do odnośnych *poszukiwań w pracowni*. W ten sposób przyrodnik, korzystający z książki, nietylko pozna dokładnie mechaniczną stronę badań drobnowidzowych, ale nadto zaznajomi się z własnościami wielu, do badań tych używanych odczynników chemicznych. Dla łatwiejszego rozwiązania tej drugiej części zadania, umieszczono na końcu książki *dodatek*, w którym przedstawiony jest sposób przyrządzania 16 główniejszych odczynników. Nakoniec oryentowanie się w całem dziełku ułatwia załączony na ostatku „ukaziciel" abecadłowy.

Powagi naukowe lekarskie (dr. Hoyer) utrzymują, że dziełko Huxleya i dla początkujących lekarzy nie małe posiada znaczenie.

Nadmienić wypada, iż książka wydaną została z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, który to wzgląd jeszcze bardziej powinien przemawiać na korzyść dziełka.

Nowele, II. Kraków.

Ze swojej teki wydawniczej p. K. Bartoszewicz puścił teraz w świat drugą seryę małych tłomaczonych powiastek, których pierwszy zeszyt oceniliśmy w *Prawdzie* przed kilku tygodniami.

W szeregu tych utworów naczelne miejsce zajęła *Wigilia Bożego Narodzenia*, którą napisał Friedrich-Friedrich. Pomysł jej dość oryginalny. Chodzi tu o *skokietowanie* oziębłej matki na korzyść jej chorowitego synka. Krótka psychologiczna analiza uczuć samolubnej kobiety — nie pozostawia nic do życzenia. Nasze panie, którym w wyrażaniu ich przywiązania do potomstwa pomaga z jednej strony mężowska kieszeń, z drugiej zaś magazyn zabawek dziecinnych — nie potrafią zapewne pojąć, jak można nie kochać dziecka, zwłaszcza słabowitego; a jednak logika uczuć w nowelce jest nieubłaganą. Ojciec chłopca był dla jego matki osobistością wstrętną; w synku więc swoim widziała wdowa tylko żywe przypomnienie starganych marzeń pierwszej młodości. To jest przesłanka pierwsza. Będąc chorowitym, nie mógł chłopczyna w niczem pomagać matce, biednej wyrobnicy — przesłanka druga, której wagę zrozumieją te, co nigdy nie siadywały na kanapach i fotelach. Nakoniec, co najważniejsza, syn był dla matki przeszkodą do zawarcia nowych (rozumie się pomyślniejszych) ślubów małżeńskich... Wnioskiem samolubnego serca było więc uczucie graniczące z nienawiścią do dziecka. W wigilię Bożego Narodzenia wyrobnica, powróciwszy do domu, ujrzała swego malca, który zamiast, jak zwykle, położyć się wcześnie spać, czuwał jeszcze, oczekując widocznie na nią. Sprawa się wyjaśniła: biedny kopciuszek przygotował był dla matki tradycyjny podarek wigilijny — mały domek zrobiony z pudełka od cygar i chciał teraz osobiście oddać jej upominek. Matka tymczasem nie pomyślała nawet o dziecku, powracając do domu. Postępek ten wzbudził w jej sercu drzemiącą tam oddawna iskrę miłości macierzyńskiej.

Pod względem artystycznym autor popełnił jeden błąd ważny. Należało mu rozstać się z czytelnikiem w tem właśnie miejscu, gdzie syn odzyskuje matkę. Wprowadzenie na scenę litościwego szewca z przeciwka, który się żeni z wdową, osłabia siłę pierwszych wrażeń i trąci nieco jakimś papierowym *deus ex machina*, który przyszedł wynagrodzić kobietę za to, że przestała być samolubną... Do chwili wręczenia podarku matce, czytamy nowelkę ze wzrastającem zajęciem; czytelnikowi, oczekującemu rezultatów, serce bije prawie tak samo, jak małemu kalece, ale potem chcielibyśmy już zamknąć książkę i pozwolić tym dwojgu nacieszyć się sobą — bez udziału wszelkich, chociażby najlitościwszych sąsiadów z przeciwka.

W *Zachodzie słońca* Fr. Coppée pokazał światu, jak dalece potężny talent umie ubarwić najbardziej zużyte nawet tematy. Oprócz tego jest tam leciuchna satyra na mieszczaństwo francuskie.

Honor domu tegoż autora jest kartką, wydartą z życia strupieszałej arystokracyi prowincyonalnej francuskiej, która blaskiem swym nęci jeszcze i upaja a trupią martwotą zabija i upadla — biedne poczwarki parweniuszów. Przewaga wyobraźni nad sercem, uczuć fikcyjnych nad rzeczywistemi — oto jeden z rysów tej sfery, a samobójstwo z przesytu lub dla uniknięcia urojonej hańby — smutne jej bohaterstwo. Źródła złego w społeczno-moralnym pasorzytnictwie szukać należy.

Dziadunio Bogdana Jelinka, utrzymujący pracą swych skrzypców wnuczkę, ślepą suchotnicę, jest ładnym i rzewnym obrazkiem, który wiele jednakże traci na zbytecznej wyjątkowości tematu. Dopóki życie i praca ludzi normalnych przywalone są brzemieniem tysiącznych braków społecznego ustroju, dopóty losy organizmów wykolejonych i chorobliwych nie mogą pochłaniać całej uwagi myślących jednostek.

Historya o manuskrypcie Daudeta nie wiem za co znalazła się w gronie tych ładnych nowelek, ani oklepany temat (odysea rękopisu początkującego autora), ani artystyczne zalety utworu nie okupiły naszego zawodu, nie usprawiedliwiły oczekiwań, łączących się zwykle z imieniem francuskiego pisarza.

Bardziej zajmującym jest Daudet w następnym obrazku *Bandyta Guastana*, gdzie przedstawił dość satyrycznie parę typów kasty urzędniczej, polującej na awans i nagrody.

P. Eliza Polko w *Życiu artysty* ze zwykłym sobie talentem opowiedziała, a raczej odmalowała jeden epizod losów Jerzego Händla. Dla tej jednej chociażby nowelki warto zaznajomić się z wydawnictwem p. Bartoszewicza.

W *Złamanej szpadzie* Dickensa odzywa się stara, jak świat, piosenka — uwiedzenie kochanki mieszczanina przez bogatego pana i zemsta pierwszego nad drugim. Dzisiejsze społeczeństwa starają się coraz wyraźniej o zmianę motywów tej starej melodyi.

Język tłomacza, jakkolwiek nie bez zarzutu, jest jednak znośnym.

M. B.

LIBERUM VETO.

Sądy znakomitych ludzi o wojnie. — Piania dziennikarskich kogutów. — O krowie która dużo ryczy. — Fryderyk drugi i Bismark. — Wojna z *Prawdą*. — Dwie reguły własności literackiej. — Sposób taniego nabycia kamelii. — Zbiór kronik Lama. — Chaos najprostszych pojęć. Pismo krawieckie. — W Niemczech a u nas. — Poczciwe Towarzystwo Wioślarskie. — Wola Allaha.

J. Paul: „Wojna jest wzmacniającą kuracyą ludzkości."

Proudhon: „Wojna, jak czas i przestrzeń, jak piękno, sprawiedliwość i konieczność, jest formą naszego rozumu, prawem naszej duszy, warunkiem naszego bytu.

Heine: „Jakkolwiek wojna jest straszną, świadczy jednak o duchowej wielkości człowieka, który stawia czoło swemu zaciętemu wrogowi — śmierci."

Machiavelli: „Każda wojna jest świętą, która jest konieczną i każda walka pobożną, której przyświeca nadzieja."

Fryderyk II: „Gdy władcy chcą wojny, rozpoczynają ją a potem sprowadzają sobie uczonego prawnika, który dowodzi, że ona jest słuszną."

Pitt: „Lepsza jest wojna ze wszystkiemi swemi klęskami, niż pokój, w którym panują tylko nieprawość i niesprawiedliwość."

Tak zawzięcie wszystkie koguty dziennikarskie pieją na wojnę, że przygotowałem dla was czytelnicy parę osłodzeń na wypadek, gdyby się wróżba sprawdzić miała. Ale nie sprawdzi się, wnoszę zaś z tego prostego faktu, że krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje. Nie mogę sobie wyobrazić, ażeby jakiekolwiek państwo, posiadając tyle kluczów dyplomatycznych do zamknięcia tajemnicy, roztrębywało na wszystkie strony świata swój skryty zamiar. Cobyśmy powiedzieli o ks. Bismarku, gdyby on, chcąc np. uderzyć na Francyę, zwołał swoją gadzinową czeladź i rzekł do niej: Ty, Pindter, nawymyślasz prasie paryskiej za jej nienawiść do niemców. Ty, Meyer, doniesiesz o wzmocnieniu wojsk nad granicą zachodnią... Ty, Stein, dowiedziesz w swoim organie, że pokojowi Europy zagraża jedynie Francya itd. Byłoby to niezłem, ale według recepty Fryderyka II, który wyraźnie mówi, że naprzód się wojnę zaczyna a *potem* dopiero sprowadza się uczonego prawnika do usprawiedliwienia jej. Tymczasem owe strachy trwają już od kilku miesięcy, przeciwnicy tak dawno są wzajemnie

ostrzeżeni o swoich zamiarach, że powinni spojrzeć sobie w oczy, roześmiać się i natychmiast uroczyście powtórzyć słowa ks. Bismarka: „Jest to zamiarem zbrodniczym chcieć wpędzić w wojnę dwa wielkie narody, które *szczerze* pragną żyć z sobą w pokoju i których nie dzielą żadne ważne *interesy*.“

Z tych przeto powodów, jakkolwiek wojna jest możliwą a nawet w pewnym przebiegu dla *Liberum veto* pożądaną, sądzę jednak, że przez sierpień mamy pokój zapewniony, pomimo ostatniej noty *Kuryera Warszawskiego* przeciwko *Prawdzie*.

Poważny i uczony ten dziennik oburzył się na mnie za to, że jego przedruk kroniki Lama nazwałem kradzieżą. Bo: 1) „kraść w publicystycznem znaczeniu jest to przedrukowywać *bez cytowania źródła*;“ 2) „*dla każdego* organu jest rzeczą pożądaną, jeżeli inne pismo przedrukowywa zeń artykuły“ (cytowane). Ponieważ o tem nie wiedziałem, zostałem skarcony za „nieznajomość rozmaitych najprostszych pojęć.“ Wina moja niewątpliwa, ale p. W. Szymanowski do niej się przyczynił. Bo widząc go corocznie jeżdżącego na kongresy literackie, sądziłem, że szan. nasz reprezentant chce prawa własności wprowadzić do literatury. Tymczasem dowiaduję się, że on własność rozumie w szczególny, mianowicie w taki sposób. Jeżeli dla przyozdobienia pokoju potrzebuję kamelii a nie chcę lub nie mogę jej kupić, wolno mi wziąść tę, którą ogrodnik sprzedał komu innemu i przyozdobić nią moje okno, z warunkiem tylko, abym na doniczce napisał: „z oranżeryi Lama.“ Nie! — nie!... — to co innego — zawoła pewnie p. Szymanowski, gdy mu ktoś na to rozumowanie „zwróci uwagę.“ A więc inaczej. Ponieważ fejletony pana Lama są bardzo lubiane, wydaję corocznie wszystkie jego kroniki w ogólnym zbiorze i tylko na pierwszej stronicy piszę: „w Dzienniku Polskim i *Gazecie Lwowskiej* czytamy...“ a na protest autora odpowiadam: 1) zacytowałem źródło a 2) wszakże przedruk powinien być dla pana pożądanym. Gdyby i tego zastosowania dwu swych reguł nie uznał p. W. Szymanowski, to już wcale nie zgaduję, po co on jeździ na na kongresy i jakich praw własności literackiej broni, zwłaszcza, że jego pismo czerpie całe artykuły i dowcipy z dzienników zagranicznych bez podania źródła. Zdaje mi się, że w zacnym *Kuryerze Warszawskim* istnieje straszny chaos „najprostszych pojęć“ o... własności. Sprawę przedruku kronik Lama podnieśliśmy z powodu skargi *Kuryera Codziennego*. Otóż pomimo dwu przywiedzionych warunków, zmazujących znamię kradzieży, byłoby niezmiernie pożądanem, ażeby p. W. Szymanowski wytłomaczył płotącym „koszałki opałki,“ na zasadzie jakiego prawa własności pewną rzecz cudzą jeden musi nabywać a drugi może brać darmo.

Nie przeczę wcale, że według teoryi „cytowania“ i „pożądania“ łatwo wydawać pismo bardzo interesujące, a nadewszystko... tanie. Istnieje nawet w naszej prasie organ, którego redaktor jest prawdziwym literackim krawcem i starannie wycina nożyczkami dla zapełnienia swych szpalt najlepsze kawałki z innych pism. Ażeby to jednak miało być bardzo prawidłowem, i dla każdego autora lub wydawcy „pożądanem“ — nie sądzę. Zresztą arkusik papieru, koperta i marka — to nie tak wielki wydatek, ażeby go nie poświęcić dla dowiedzenia się, czy też np. p. J. Lam, który swoje kroniki sprzedaje *Kuryerowi Codziennemu* za pieniądze, odstąpi je *Warszawskiemu* za zaszczyt. Może autor, który ledwie piórem rodzinę utrzymać zdoła, okaże się wspaniałomyślnym dla pisma, które ciągnie zyski z 20,000 abonentów; w każdym razie zapytać go warto.

Ale dosyć o tej sprawie, którą podniosłem dlatego, że ona potrąca o ważną kwestyę własności literackiej, chociaż ze strony przeciwnej nic więcej nad pyszałkowatą i lekkomyślną bufonadę nie spadło.

Takie tylko szermierki przerywają ciszę naszego publicznego życia.

W Sztutgarcie odbywa się obecnie zjazd niemieckich geologów.

A u nas? U nas Towarzystwo Wioślarskie urządzało wyścigi.

W Darmsztacie obradują niemieccy inżenierowie.

A u nas? U nas Towarzystwo Wioślarskie straciło w Wiśle jednego członka.

W Wiedniu urządzono wystawę elektryczną.

A u nas? U nas Towarzystwo Wioślarskie ogłosiło porównanie swego dochodu z rozchodem.

W Trewirze zjechali się na naradę niemieccy antropologowie.

A u nas? U nas członkowie Towarzystwa Wioślarskiego, po smutnym wypadku, boją się puszczać łodziami na Wisłę.

W Monachium zebrali się niemieccy geometrowie.

A u nas? U nas Towarzystwo Wioślarskie...

Słowem, gdyby nie poczciwe Towarzystwo Wioślarskie, które stanowi główny a często wyłączny przedmiot naszej uwagi, możnaby powiedzieć, że u nas nic się nie dzieje.

Przepraszam: starą pocztę „osztandarowano,“ kanalizacya postępuje a tramwaje na Pradze mają kursować od 1 września. Alboż to nie dosyć do zapisania białej karty współczesnych dziejów?

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Gorączka religijna Wilna. — Jej ostry i chroniczny przebieg. — Działalność pasterza-ojca względem pasterzy-synów. — Znikanie tonsury pod peruką. — Uciecha wileńskich studentek.—Wrażenia na mińskim bruku. — „Inteligentna“ pralnia—*Słowa*.

Wilno bierzmuje się.

Gdyby gród Gedymina uległ teraz losom Casamicioli, to dusze jego mieszkańców, wydostawszy się z pod gruzów, poszłyby prosto do nieba. Pobożność, zmuszająca nawet miejscowych żydów i mahometan do zdejmowania czapki przed Ostrą Bramą, jednym wielkim płomieniem ogarnęła całe miasto. Przekupka, zapytana o cenę obwarzanków lub gruszek, odpowiada bez namysłu: „W poniedziałek u Franciszkanów, we wtorek u św. Ducha, we środę itd.“ Sprawy społeczne i ekonomiczne, wielka i mała polityka, a nawet plotki miejskie i oszczerstwo—wszystko to umilknąć musiało na czas jakiś, gdyż, jak powiedziałem, Wilno bierzmuje się.

Tę *febris sacramentalis* pragnąłbym uważać za ostry, ale krótkotrwały objaw choroby. Przechodząc w stan chroniczny, wyrządziłaby ona wilnianom straty zanadto dotkliwe. Odwrócenie myśli od surowych wymagań życia i skierowanie jej w stronę potrzeb pietyzmu, jest dzisiaj klęską tem większą, im bardziej się oddalamy od wieków średnich. Nienasycony moloch cywilizacyi zabija i pochłania wszystkie, wiedzą do walki nie uzbrojone, pacholęta, bez względu na odmawianą przez nie ilość koronek i litanij.

To jest zasada ogólna; w szczególności przypuszczalne następstwa choroby usposabiają do smutniejszych jeszcze rozmyślań. Z popiołu kościelnych trybularzy narodzi się zapewne nowy feniks domorosłej polityki zakrystyjnej, która, bałamucąc nas przez tyle wieków, nie nauczyła katolika od polaka odróżniać. Wszelkie rozumniejsze pojmowanie odrębności plemiennej na długo zniknie zapewne w fałdach szaty biskupiej, a objawy myśli niepodległej coraz częściej otrzymywać będą z rąk pobożnych etykietkę zdrady stanu. Najsmutniejszemi z tego wszystkiego są usypiające fale optymizmu, w jakich coraz głębiej zanurzają się uszczęśliwieni wilnianie i wilnianki; przypuszczają oni w uniesieniu, że miasteczko ich jest rajem ziemskim, do którego — jeżeli nie zstąpili jeszcze Adam i Ewa — to tylko dlatego, aby nie dyskredytować rozkoszy niebieskich.

Dzisiejsza choroba Wilna jest wynikiem zarówno dawniejszej naszej cywilizacyi, jakoteż i niedawno minionych wypadków. Zrodziła ją nieubłagana logika wydarzeń, całkiem niezależnie od osobistych przymiotów biskupa Hryniewickiego, w którego zamianowaniu widzimy znak lepszej doby, a którego działalność zdradza zacne i głębokie pojmowanie obowiązków. Że pasterz kościoła stara się o zwiększenie w swoich owieczkach żarliwości religijnej, tego mu nikt za złe wziąść nie może, ale co należy uznać wprost za zasługę szanownego nominata, to jego energiczne wzięcie się do nawpół przegniłej kasty pseudo-kapłanów. W całej dyecezyi odbywa się teraz powszechna dezinfekcya wiejskich i miejskich plebanij. Wszystkie samolubne ślimaki, wszystkie pasożyty skwapliwie opuszczają wygodne skorupki i kryjówki. Wilno jest świadkiem dziwnych przeobrażeń. Poły sutanny tu i owdzie bywają obcięte, a tonsury wstydliwie przykrywają się peruką. „Nasz ukochany ojciec i pasterz“ bez względu na obficie sypane mu pochlebstwa obcina zbyt wybujałe pazury „pasterzy-synów.“ Tych ostatnich czasem nawet krzyż kanonicki nie może uchronić od suspensy... Zdegradowani ex-pasterze uciekają się pod skrzydła kalwińskich zborów i bodaj kahałów żydowskich, ale żadne z tych wyznań na łono swe przyjąć ich nie chce. W ostatnich czasach uwagę publiczności wileńskiej zajął pewien nowo-kreowany przez biskupa salonowiec, którego jakaś zdradliwa niewiasta popchnęła na drogę tużurków i marynarek. Dzisiaj „zdradliwa niewiasta“ serce swe i rękę oddała innemu, a ów kochliwy osobnik jest tylko postrachem wszystkich siostrzenic i gospodyń proboszczów, którzy na sero muszą myśleć o poważnych wiekiem ochmistrzyniach.

Nie ma tego złego, coby nie wyszło na dobre. Mania religijna, odurzająca mieszkańców Wilna, pozwoliła odetchnąć wolniej kilku studentkom, spędzającym wakacye w sławetnym grodzie. W warunkach zwykłych pobożne oszczerstwo dewotek nie przestaje atakować tych bezbożnych istot, które odważyły się zerwać z tradycyą ciemnoty i przesądów. Dziwne są doprawdy te wileńskie stosunki! Pomimo dławiącej atmosfery klerykalizmu, zdobyło się przecie miasto na kilka jaśniejszych umysłów kobiecych, na kilka słuchaczek uniwersytetu. Wogóle, pomimo jego konserwatyzmu, są jedynemi niemal przedstawicielkami naszego żywiołu na kursach Bestużewa. Pozorną tę anomalię wytłomaczyć jednak łatwo. Na dziewczęta tameczne wielki wpływ wywiera młodzież męska, przyjeżdżająca z Petersburga na wakacye do domu. Młodzież ta na szczęście nietylko ma odwagę nie nosić różyczek w klapie surdutów, ale nadto odważa się czasem propagować wyższą oświatę w gronie panien.

Niepospolitym jest typ wileńskich studentek. Są one, z przeproszeniem gazeciarskich oszczerców—polkami, pomimo to jednak cechują się taką śmiałością myśli i niepodległością poglądów, jak gdyby nigdy nie słyszały o „naszej dziewoi,“ która zna wróżby kwiatowe i wie, że przeznaczeniem kobiety jest złapać męża. Podczas krótkiej mojej wycieczki do Wilna poznałem jedną z tych potępionych. Za jedyną

jej wadę uważać chyba można to, że, jak na studentkę, jest zbyt piękną. Tego właśnie darować jej nie mogły cnotliwe dziewice, którym młodzież akademicka nie pomaga już wcale nosić złotych ołtarzyków do kościoła. Moja znajoma wynurzyła mi wielką radość z powodu zajęcia się opinii nowym biskupem.

— Inaczej—mówiła—bylibyśmy niemiłosiernie szarpane. Trzeba panu wiedzieć, iż każda z nas cierpi nietylko za siebie, ale i za błędy cudze. Niech tylko kucharka mojej stryjecznej babki zawiąże romans ze strażakiem, a na pewno ja będę uważaną za sprawczynię tego nieszczęścia.

Z Wilna pojechałem do Mińska.

Dobrodziejstwa cywilizacyi, jeżdżącej szerokim torem, jaśnieją tam w całym blasku. Taka jest zewnętrzna przyczyna zepsucia; inna, ogólniejsza i głębsza, spoczywa, rozumie się, w szybkim rozwoju społecznego pasorzytnictwa. Żądza używania, która, według socyologii warszawskiej, jest wynikiem niedostatecznej ilości katechizmowych podręczników, zrodziła tam mnóstwo drobnych i grubych szwindlów. Opinia publiczna przywykła już obchodzić się z nimi po macierzyńsku—łagodnie. Życia rodzinnego w białoruskim grodzie prawie nie ma zupełnie. Autochtonowie, zasnąwszy przed laty 20, nie obudzili się z letargu dotychczas i umierają, jeden po drugim z hasłami preferansa na ustach. Żywioły inne, jakkolwiek bardziej ruchliwe, grzeszą nieznajomością stosunków miejscowych a czasem znów zbytecznem rozmiłowaniem się w środkach doraźnych. Dowodem tego świeżo zaprojektowana i zapowiedziana już wystawa rolnicza. Inicyatorowie jej zaczęli od tego, iż w planie umieścili paragraf następujący. Każdy wystawca obowiązanym jest okazać piśmienne poręczenie swoich ziemian-sąsiadów, że wystawione przez niego okazy, są rzeczywiście owocem jego pracy i chowu. Wymaganie takie jest o tyle śmieszne, o ile bezskuteczne i... ubliżające. Obraża ono godność tych, którym się z góry fałsz bez podstawy zadaje, śmieszy zaś swoją naiwnością. Jeżeli bowiem mógłby się znaleźć jakiś, przypuśćmy, marszałek, któryby do splendorów swego domu zapragnął „medal krowi“ dołączyć i przysłał na wystawę kupioną w Tyrolu parę sztuk bydła, to czyż taki pan nie znajdzie dziesięciu usłużnych, którzy dla miłości jego krowy potrafią Tyrol nad brzegami Swisłoczy umieścić?

Taka niezdarność w życiu społecznem jest wynikiem zbyt długiego letargu. Tylko różowo na świat patrzące *Słowo* dojrzało w Mińsku „budzące się życie“ a to dlatego, że jakaś „inteligentna“ dama, pragnąc zwiększyć źródło swoich dochodów—założyła tam porządniejszą pralnię.

O ile ta pralnia świadczyć może o rozwoju dodatnich sił mińskiego społeczeństwa, zapytaj kochane *Słowo* — praczek, które w niej pracują. Dobrych geszeftów nie otaczajmy aureolą bohaterstwa.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 29 sierpnia.

Śmierć hr. Chamborda. — Groźby niemieckie. — Porażka w Tonkinie. — Rozruchy w Węgrzech i Chorwacyi.

Najgłośniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia jest śmierć hr. Chamborda, chociaż właściwie fakt ten niema politycznego znaczenia i na losy Francyi wpływu żadnego nie wywrze. Monarchiści cieszą się wprawdzie nadzieją, że złączone grupy legitymistów i orleanistów utworzą potężne stronnictwo, groźne dla rzeczypospolitej; ale toułudna mrzonka. Obie partye przedstawiają zbyt rażącą sprzeczność zasad i interesów, aby zgoda między niemi była możliwą. Hrabia Paryża powiększy liczbę swych stronników niedobitkami legitymistycznego obozu, ale nie zdoła i nie zechce stać się przedstawicielem idei prawowitej monarchii bourbońskiej. Zmarły hr. Chambord określił kiedyś swe stanowisko, że on jest niczem a zasada wszystkiem. Zasada ta przeżyta, niezgodna z duchem czasu, niemożliwa do urzeczywistnienia znalazła w nim jedynego, odpowiedniego reprezentanta. Wychowany w otoczeniu emigrantów, przesiąknięty wyobrażeniami średniowiecznemi, konsekwentny w najdrobniejszych nawet szczegółach, przedstawia typ nadzwyczaj ciekawy dla psychologa. Jako polityk był to bourbon, który o niczem nie zapomniał i niczego się nie nauczył. Nie można go nawet zazwać reakcyonistą w zwykłem znaczeniu tego wyrazu; ideałem jego było wymarzone królestwo „dobrych starych czasów“ z nieograniczoną władzą monarchy, z przewagą szlachty i duchowieństwa i z tradycyjnym białym sztandarem, któremu pozostał wierny z uporem maniaka i lojalnością rycerza. „Wszystko albo nic“ było jego hasłem, żadnych ustępstw wymaganiom czasu—żadnych kompromisów z rzeczywistością. Tym dziwacznym uporem odbierał kilkakrotnie swej sprawie możliwe szanse powodzenia, ale w charakterze swym wytrwał wiernie do śmierci. Za życia był śmiesznym i nieszkodliwym pretendentem, pragnącym zbawić Francyę od rewolucyj, wbrew jej woli, po zgonie zyskał oznaki współczucia nawet od dzienników republikańskich, należne nie zasadzie, której był przedstawicielem, ale w części osobistym przymiotom człowieka, głównie zaś tej okoliczności, że dla zdobycia władzy nigdy nie spiskował, ani też nie wchodził w konszachty z obcymi przeciw własnemu narodowi, chociaż nie brakło mu ani sposobności przyjaznych, ani życzliwych propozycyj.

Oprócz śmierci Chamborda uwagę prasy francuskiej zajmuje inna jeszcze kwestya. Organ ks. Bismarka, *N. D. Allg. Zeitung* zamieściła groźną półurzędową notę, pełną niewczesnych pogróżek a skierowaną przeciw szowinistycznym wybrykom dzienników paryskich. Nierozsądna ta prowokacya znalazła właściwą odprawę. Pierwszy to raz po wojnie 1879—71 roku gazety francuskie odpowiedziały na wyzwanie niemieckie bez wykrętów lub przechwałek, ale spokojnie i śmiało, z ufnością we własne siły. Zaledwie jednak przebrzmiały wojenne pobudki na zachodzie, kiedy półurzędowa prasa niemiecka rozpoczęła drugą kampanię, wymierzoną tym razem niby to przeciw uzbrojeniom i polityce bułgarskiej, a w samej rzeczy skierowaną ubocznie przeciw Rosyi.

Widocznie mara francusko-rosyjskiego przymierza nie daje spać politykom nad Spreą. Dziennikarze zachodzą w głowy, szukając objaśnienia tych wyzywających występów kanclerza; jedni z niepokojem widzą w nich chęć wywołania powszechnej wojny, drudzy zaś tłomaczą fakt prościej i prawdopodobniej. Według ich zdania Bismark umyślnie wywołał tę burzę, aby strasząc niemców perspektywą bliskiej zawieruchy, uzyskać zatwierdzenie nowych kredytów wojennych. Ale w każdym razie różnica obu tych zapatrywań nie jest zasadniczą, bo i nowe uzbrojenia, chociaż natychmiastowej wojny nie wróżą, nie są wszakże symptomatem pokojowym.

W Tonkinie wojna zaczęła się w najlepsze. Flota francuska blokuje wybrzeża i bombarduje porty, ale działanie to nie przynosi widocznych rezultatów. Natomiast wojska lądowe z powodu nadchodzącej pory deszczów, pozostać muszą przez czas niejaki bezczynnemi. Ostatnie depesze przyniosły niepomyślne wieści o porażce francuzów.

Położenie wewnętrzne w Węgrzech przybiera coraz bardziej niepokojący charakter. Rozruchy antisemickie, stłumione w Peszcie, wybuchnęły na prowincyi ze zdwojoną siłą. Zaczęły się one równocześnie w wielu miejscowościach, a o ich rozmiarach świadczy fakt, że burzyciele, zaopatrzeni w broń, napadają nawet na wojsko. W Zaglägerszeg podczas starcia zginęło 20 żołnierzy. Nielepiej dzieje się w Chorwacyi. Agitacya przeciw napisom węgierskim wzrasta. W niektórych miastach przyszło również do bitwy z wojskiem. W niespokojnych okręgach ogłoszonym został nawet stan oblężenia: Stronnictwo radykalne podburza ludność do zupełnego zerwania z węgrami, a postanowienie o przywróceniu zniszczonych godeł i napisów dodaje tylko oliwy do ognia. W przewidywaniu tego ban Pejaczewicz nie zgodził się na wykonanie rozkazu rządowego i prosił o dymisyę, którą mu udzielono.

Najjaśniejszy Pan z rodziną udał się z Kronsztadu do Kopenhagi.

CUDZE GŁOSY.

Polityk „ze wsi,“ debiutujący w *Czasie*, na szczęście współpracowników jego podczas kanikuły letniej i posuchy dziennikarskiej, pędzi obecnie, niby Don Kiszot, w całym galopie na liberalne... wiatraki. Kogo, jak kogo, ale nie godzi się chyba poczciwych galilejczyków posądzać o farmazoństwo i liberalne dążności. Naród to przecież znany z przywiązania do wiary i zasad swoich ojców. *Czas* wie o tem bardzo dobrze, ale figlarz udaje, że ani się domyśla istnienia tych poczciwych zasad u ludu swego. Krzyczy więc, strojąc zakłopotaną i zastraszoną minę, nie mogąc zaś w inny sposób przyczepić się do kiełkującego obecnie w Galicyi, umiarkowanego zresztą bardzo stronnictwa „niezawisłych,“ krytykuje nazwę jego, która wobec absolutnego „stania“ ultramontanów krakowskich, odbija bezwątpienia wcale korzystnie.

„Stronnictwa — powiada — biorą swe nazwy według kierunku i zasad politycznych a nie według przymiotów i cnót osobistych. I tak: stronnictwo konserwatywne w przeciwieństwie do postępowego lub liberalnego, stronnictwo federalistyczne albo autonomiczne do centralistycznego. Ale nie wypada i nie godzi się dla ludzi dojrzałych używać tytułu, mieszczącego w sobie przechwałkę z ubliżeniem dla innych. Niezawisłość należy zaś do tego rodzaju przymiotów, których wymagamy słusznie od każdego reprezentanta kraju i wogóle w życiu publicznem od każdego porządnego człowieka. Stronnictwo niezawisłych brzmi też tak, jakby kto się nazywał z góry dowcipnym, rozumnym, zacnym. *Non licet*, panowie, bo to i ubliżające, pretensyonalne a trochę także i śmieszne, gdy zwłaszcza zważymy, że ci niezawiśli staną mają w antytezie do obozu, który się szczyci udziałem mężów, znanych z niezawisłości (może sama choćby głowa jego: Ludwik hr. Wodzicki, gubernator Länderbanku), ale także z hartu ducha i stałych, pewnych zasad i niezachwianego patryotyzmu,“

Jako przykład zupełnej niezawisłości stawia *Czas* dr. Smolkę i Grocholskiego. Atoli *Nowa Reforma* tak powiada:

„Ku największemu zgorszeniu korespondenta *Czasu* powiemy, że jeżeli chodzi o niezawisłość sądu, opinii, to przewódzcy Koła polskiego, naszem zdaniem, coraz więcej ją tracą i Koło samo ją traci. Ktokolwiek bliżej się przypatruje działalności Koła i przywódców jego, przyznaje, że ci najzacniejsi, z pewnością żadnym osobistym interesem niepowodowani, z pewnością zawsze w najlepszej wierze działający mężowie, trzymają się tej samej polityki, jaką *Czas* streścił i że, jak we Lwowie przewodnią myślą polityczną było: nie robić przykrości panu Alfredowi, tak w Wiedniu jest nią: nie robić przykrości hr. Taaffemu! (Jeszcze go się nie nazywa „panem Edwardem,“ ale wkrótce dojdziemy i do tej doskonałości).“

Przytaczamy jeszcze zdanie *Gazety narodowej*, która pisze, że:

„*Czas* nie chce tego zrozumieć, iż stronnictwa opozycyjne nie myślą wcale o opozycyi *quand même* przeciwko ministerstwu, lecz owszem szczerze zamyślają popierać rząd w walce jego z centralizmem. Oddając jednak ministerstwu, co ministeryalne, chcą pamiętać trochę i o kraju, chcą oddać krajowi, co krajowe. W tem leży różnica pomiędzy stronnictwem *Czasu* a nowymi prądami, które oby znalazły jak najdobitniejszy wyraz w sejmie! Mianowicie, gdy *Czas* chce tylko stać i stać bez końca przy ministeryalnym płocie, to ci, którzy tak przestraszyli go opozycyjnymi zamiarami, w gruncie rzeczy nie myślą o opozycyi przeciw rządowi, tylko chcą działać na korzyść kraju, czyli, krótko mówiąc, nie chcą stać, tylko działać."

Na skierowane tak ze wszech stron przeciw sobie zarzuty, oświadczył *Czas*, że on nigdy nie był zatem, aby stać przy ministerstwie, ale przy koronie. Jeżeli zaś radził usilnie, aby w sejmie unikano zawsze tego, co mogło zrobić przykrość „panu Alfredowi," to dlatego tylko, że wszystko, co było przykrością dla p. Alfreda, było ze szkodą dla kraju.

„Dziwną więc była—powiada na to *Kuryer lwowski*—organizacya tego p. Alfreda! Ktoby się domyślił, że był to człowiek, który czuł za miliony, cierpiał za miliony a organizmem swoim, jak fismograf prof. Palmierego, wyrażał wstrząśnienia, nurtujące w łonie kraju.

Co się zaś tyczy owego stania przy koronie a nie przy ministerstwie, to przecież *Czasowi* już tylokrotnie wykazano, że jest to tylko maska, bo korona, jako nieodpowiedzialna, nie może służyć za punkt oparcia w akcyi politycznej. Stanie przy koronie redukuje się więc w praktyce do tego, że wysługuje każdemu z kolei ministerstwu."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytety galicyjskie. Wszechnica Jagielońska w Krakowie liczyła w ubiegłym półroczu 799 słuchaczów, we Lwowie w tymże czasie było ich 1022, podówczas gdy niemiecki uniwersytet w Czerniowcach miał zaledwie 200 studentów, z których trzecia część pobiera stypendya rządowe.

Nowy kongres. We wrześniu w Bernie ma się odbyć zjazd przeciwników szczepienia ospy.

Stypendya dla agronomów. Z powodu braku profesorów-agronomów minister dóbr państwa uznał za konieczne ustanowienie przy Akademii Petrowskiej w Moskwie i Instytucie leśnym w Petersburgu stypendyów dla młodych ludzi, którzy ukończyli wydział fizyko-matematyczny ze stopniem kandydata i pragną kształcić się na profesorów. Stypendyści otrzymywać będą mieszkanie, utrzymanie i 700 rs. rocznej pensyi.

Nowe cukrownie. Gazety miejscowe donoszą, że towarzystwo angielskich i francuskich kapitalistów zamierza wybudować aż 6 cukrowni, 3 na Kujawach, a 3 w gub. płockiej na przestrzeni między Zakroczymem a Dobrzyniem. Plantatorowie buraków mają być przypuszczeni do pewnego udziału w zyskach.

Reorganizacya więzień. Na utrzymanie różnego rodzaju zakładów karnych wydaje rząd rocznie 12,000.000 rs. Obecnie w sferach kompetentnych wypracowano projekt, według którego należycie uporządkowana praca aresztantów może dać dochód, pokrywający całkowicie koszta ich utrzymania oraz administracyi więzień.

Ochrony wiejskie. Przed dwoma laty minister spraw wewnętrznych zwrócił uwagę podwładnych sobie organów na sprawę zakładania ochronek po wsiach. Sprawozdania gubernatorów, ogłoszone obecnie, podają, że w 6 guberniach t. z. zachodnich znajduje się 69 ochron z pomieszczeniem dla 2549 dzieci a w Królestwie tylko 13 na 490 dzieci. W gub. warszawskiej, siedleckiej i piotrkowskiej nie ma ani jednej!

Proces polityczny. Sąd krajowy krakowski za udział w tajnem stowarzyszeniu socyalistycznem skazał Adama Maurizio na 4 miesiące więzienia i 50 guld. grzywny, Ludwika Grudzińskiego na 3 miesiące i Maryę Grudzińską na 7 dni aresztu.

Emigracya. Według *Dziennika poznańskiego* w New-Yorku znajduje się około 6,000 polaków, wychodźców z Prus i Księstwa bez żadnych środków utrzymania. Brak funduszów nie pozwala im również wrócić do kraju.

Tatarska interwencya. W Eupatoryi kilku włościan wszczęło bójkę z żydami i przyszłoby może do poważniejszych zaburzeń, bo zbierały się już gromadki ulicznej gawiedzi, gdyby nie energiczne znalezienie się miejscowych tatarów, którzy uwolnili żydów z rąk tłumu, a inicyatorów bójki zaprowadzili do urzędu policyjnego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. b. d. Jeżeli Pan po przeczytaniu naszych słów: „chociaż za winy tych wilczyc (niemieckich) *nie może być odpowiedzialny* nasz świat izraelski," utrzymujesz, że nasz fejletonista „polaków mojżeszowego wyznania *czyni odpowiedzialnymi* za niemców tego wyznania," to dowodzi, że Pan nie wiesz, coś napisał lub coś przeczytał.

P. K. J. Wyraz *banda* nie jest wcale ani lepszym, ani dawniej przyswojonym, niż *szajka*. Ostatni zyskał już także prawo obywatelstwa w naszym języku.

P. L. w Obuchowie. Prawdę wysyłamy od lipca nieprzerwanie. Nr. 1 — wyekspedyowany, 2 i 3 — wyczerpane.

OFIARY.

Dla biednych uczniów. A. R. i A. F. rs. 3, Zofia D. z Woli F. (dla ucznia gimnazyum realnego) rs. 10; na szkołę gospodarstwa dla dziewcząt rs. 5.

Na Kasę imienia Mianowskiego. J. N - K. z Płocka rs. 1.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Августа 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Swiętochowski.